

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 26 MAJA 1961 ROKU

NR. 21.

TREŚĆ NUMERU: Koleżeństwo — *Natalja Jastrzębska*. Gołębica — *S. Borowska*. Konwalia (nowela) — *Zuzanna Melicka*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Wystawy malarek — *Stefanja Podhorska - Okotów*. W książce i życiu — *Zofja Miszewska*. Stuprocentowa kobieta w todze profesorskiej — *Z. M. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. W obronie naszych wnętrz — *Wanda Dobrzańska*. Jak należy zbierać grzyby — *Feliks Teodorowicz*. Co to jest żywokost — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Jak pielęgnować kwiaty pokojowe w lecie — *A. Podczaska*. Surówka wiosenna i letnia — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Obiady dla inteligencji pracującej — *Pani Elżbieta*. Dodatek „*Mody i roboty*”.
Arkusze wzorów.

KOLEŻEŃSTWO

Z pomiędzy wielu zagadnień, które stają przed nowoczesną kobietą, nie najmniej ważna jest sprawa koleżeństwa.

Lat temu kilkadziesiąt nie istniała zupełnie. Koleżanka? To była najwyżej przyjaciółka na pensji. Kilka lat dzieciństwa i pierwszej młodości, najserdeczniejsze węzły, tajemnicze zwierzenia, „wielkie” sprawy, obietnice dozgonnej miłości i pamięci na stroniczce albumu, ozdobionej gołąbkami z niezapominajką, lub kwiatem płonąco ponsowej róży.

Życie rozwiązywało potem węzły, zacierało wspomnienia, aż do samych nazwisk włącznie, bo życie nie dawało kobiecie ówczesnej koleżeństwa. Miała tylko rodzinę.

Dziś zupełnie inaczej. Nauka, praca zawodowa, praca społeczna, życie polityczne, wszystko wytwarza stosunki koleżeńskie, zarówno kobiet między sobą, jak kobiet z mężczyznami. I jedne i drugie wymagają specjalnego zrozumienia, taktu i umiaru. Człowiek jest zwierzęciem towarzyskim, mówi mądra maksyma i to stanowi podstawę, zasadę, ułatwiającą stosunki wzajemne ludzi, skupionych w celu bądź pracy zawodowej, bądź nauki, czy dokonania innego, o wspólnym celu, zadania. Ta towarzyskość ułatwia nam obcowanie, stwarza nawet często serdeczniejsze węzły między ludźmi pracującymi wspólnie. Wojskowi twierdzą, że najsilniej wiąże koleżeństwo broni; wiążą jednak i inne prace, ośrodek tych węzłów stanowi zawsze zainteresowanie głównym warsztatem pracy: nasza szkoła, nasz sklep, nasza redakcja, nasze biuro... Bez tego zainteresowania wspólnego nie do pojęcia jest dobry pracownik i dobry kolega. To

wspólne dobro w pracy, wspólne trudy, niekiedy przykrości, niekiedy radości osiągniętych rezultatów, przywiązują nie tylko do pracy, lecz i łączą ludzi, pracujących wspólnie.

Obok tych czynników dodatnich istnieją jednak i ujemne, przeszkadzające wytworzeniu dobrych, koleżeńskich stosunków.

Każda płeć ma tu swój rachunek wad w stosunku do innych. Mężczyźni grzeszą częściej wygórowaną ambicją, chęcią zbyt szybkiego robienia kariery, w stosunku do kobiet lekceważeniem ich wysiłków: „babska nauka”, „babska robota”, „babska logika”; kobiety mają inne wady, może drobniejsze gatunkowo, niemniej jednak dokuczliwe.

Czasy „aniołków biurowych” mijają na szczęście, zanika coraz bardziej typ kobiety, która odnosiła się do kolegów i koleżanek tak, jakgdyby biuro, czy uczelnia były salonem. Ale właśnie w tym leży pewna trudność, ażeby, nie transponując w miejsca pracy obyczajów salonowych, stworzyć w nich jednak kulturalny i miły stosunek koleżeński.

Pierwszym stopniem do tego musi być zawsze zasada solidarności, poczucia łączności wzajemnej; następnymi: spokój, takt, wyrozumiałość i pewne zdolności pedagogiczne.

W niewielkich środowiskach pracy: w szkole, gdzie wykłada kilku nauczycieli, w niewielkim biurze, stosunki najczęściej układają się dobrze, ludzie dopasowują się do siebie i są „zgrani”. Inaczej bywa w większych zakładach, gdzie często pracują wspólnie osoby najrozmaitszych środowisk, czasem nawet ras i narodowości. Tu jest już znacznie trudniej, często najtrudniej kobiecie, do której odnoszą się nieraz,

koledzy zwłaszcza, albo zbyt uprzejmie, albo zbyt lekceważąco, pod znakiem znanego już określenia: babska robota.

I na jedno i na drugie reagować trzeba umiejętnie: środowisko pracy, czy nauki jest najmniej odpowiednio do flirtu, zaznaczenie tego i utrzymanie się na tem stanowisku jest najlepszym lekarstwem na niewłaściwe odnoszenie się kolegów do koleżanki w tym kierunku. Na lekceważenie pracy jest także środek: pewność siebie, oparta na podstawie przekonania o wartości swego wysiłku.

Ta pewność siebie, racjonalne poczucie, silne wzięcie na siebie odpowiedzialności nie są najmniejszą rzeczą. U kobiet zwłaszcza bywa często tak, że osoba zdolna, pracowita, sumienna, wartościowa pod każdym względem, nie potrafi *postawić się* właściwie. Przyczyną tego jest czasem zbyt skromność, czasem przeciwnie, zbyt ambicja: sami powinni umieć ocenić! I jedno i drugie stosować trzeba z umiarem.

Istota stosunków koleżeńskich różni się zasadniczo, zależnie od rodzaju koleżeństwa. Inne będzie ono w salach uczelni, inne w gronie nauczycieli, jeszcze inne w biurze, fabryce, warsztacie.

Wszędzie jednak dadzą się zastosować pewne ogólne zasady, których zawsze dobrze jest trzymać się w stosunkach z innymi. Pierwsza, to zdolność pewnego dopasowania się do tych drugich, bez niej bowiem nie może być mowy o zgodnym współżyciu. Nie chodzi tu wcale o tłumienie swej indywidualności, godzenie się zawsze na cudze zdanie, lub uleganie wszystkim, ale o zrozumienie czyjegoś racjonalnego stanowiska i usprawiedliwionych wymagań, a zarazem o niestawianie swoich w sposób zbyt despotyczny. Ileż to mamy nieraz tragicomicznych nieporozumień wśród kolegów o otwarciu lub zamknięciu okna, przeszkadzanie rozmową, niezalatwienie momentalnie jakiegoś wymaganego drobiazgu i różne takie rzeczy. Można ręczyć głową, że gdyby każdy z kontrahentów stanął na stanowisku wyrozumienia w stosunku do drugiego, nie byłoby sprzeczki i dyssonansu.

Nie mam zamiaru dotykać tu rzeczy nieetycznych, intryg i szkoda sobie, bo to wykracza już poza ramy normalnych stosunków i należy do zakresu zwykłej, uczciwości i etyki, która powinna być miarą wszelkiego, nie tylko koleżeńkiego obcowania; ale ileż razy uchybić można koleżeńskości, nie zdając sobie z tego sprawy, wprost przez niewyrozumowanie wysuwanie siebie, zbyt ostro krytyczne nastawienie, lub zbyt wielkie wymagania, które nie do każdego dadzą się dopasować.

Tak samo unikać trzeba zanadto czulego, wylewnego stosunku, tego, co Niemcy nazywają dowcipnie „dicke Freundschaft“ (gruba przyjaźń)! Są osoby, które od razu rzucają się na szyję, otwierają całe serce w koleżeńskim gronie, zwierają się z tajemnic, są niezwykle serdeczne i uprzedzające. Wywołuje to naj-

częściej skutki ujemne, zwłaszcza w większym środowisku. Nie wszyscy przecież mogą zostać od razu najbliższymi przyjaciółmi. Stosunki serdeczne mogą i powinny wytworzyć się na tle wspólnej pracy, ale zawsze po pewnym czasie i tylko z pewnymi osobami.

Mając to na uwadze, należy jednak pamiętać o odwrotnej stronie medalu: o bezwzględnie obowiązującej, poprawnej uprzejmości dla wszystkich. Bywa bowiem często tak, że np. nowa koleżanka lub kolega są przyjęci do grona z niechęcią, oziębłością widoczną, która z punktu paraliżuje dobre stosunki w przyszłości; tak samo, rezerwując sobie prawo większego zbliżenia i zacieśnienia przyjacielskiego współżycia z tymi, którzy są nam więcej sympatyczni, nie możemy (za wyjątkiem poważnych powodów) dać drugim odczuć, że nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego.

Jeżeli chodzi o stosunki koleżeńskie kobiet między sobą, to, oburzają się zapewne Szanowne Czytelniczki, trudno! powiedzieć muszę, co myślę: uważam je za trudniejsze niekiedy!

Są one bezwarunkowo zasadniczo miłsze, zapewne, często zawiązuje się na ich tle przyjaźń serdeczna, to prawda; niemniej jednak trzeba włożyć w nie wiele dobrej woli, wyrozumienia i cierpliwości.

Mężczyzna jest zwykle jednolity: miły, towarzyski, dobry kolega, lub zgryźliwy odludek: wiadomo, z kim mamy przyjemność. Stosunek koleżeński z nim nacechowany jest większą rezerwą; kobieta bywa więcej ekspansywna, gadatliwa, serdeczna, ale i nierówna, często grymasna, obraźliwa za najdrobniejszym powodem, lub bez powodu, co wytwarza nieraz stosunek kłopotliwy. W tym kierunku zastosować trzeba też umiejętną pedagogikę.

Wszystko to jest łatwe dla pewnych typów psychicznych; są osoby uzdolnione z natury, takie, które potrafią być poważne bez sztywności, serdeczne i uprzejme bez przesady i niedyskrecji, wesole i rozmowne bez świegotliwości, stawiając stosunki koleżeńskie na ich właściwym poziomie.

Nie wszyscy jednak potrafimy to od razu; kobieta, tak niedawno praktykująca w tej dziedzinie, powinna się zastanowić nad sobą i starać się o wyrobienie w sobie i otoczeniu kultury i poczucia koleżeństwa. Dobrym treningiem koleżeńskości kobiet z mężczyznami są szkoły koedukacyjne, harcerstwo, sporty dla młodzieży, uczelnie wyższe i zawodowe dla nieco starszych, a potem dobra wola i praktyka pracy. Pierwszą zasadą musi być poczucie samej istoty rzeczy: solidarności z towarzyszem, czy towarzyszką pracy. Cierpliwość, wyrozumiałość na różne wady i uchybienia, poczucie godności osobistej, bez obrażania się przy lada sposobności, spokój, dowcip i równy, pogodny humor, to najważniejsze czynniki stworzenia ze swego środowiska pracy ośrodka prawdziwego koleżeństwa, opartego nie na „odsiadywaniu“ wspólnie kilku godzin, lecz na istotnej łączności, która zawsze przynosi korzyść i pracy i samym pracownikom.

Natalja Jastrzębska.

GOŁĘBICA

Nosi śliczne i pospolite imię Zofji, jest nauczycielką w szkole powszechnej, ma dom, męża i czworo dzieci.

Nie obcięła nigdy długich, jasnych włosów — bo Henryk tego nie lubi. Nie nosiła nigdy krótkiej sukni — bo Henryk brzydzi się taką kokieterją. Urodziła w swem niezbyt długim życiu już sześcioro dzieci (z których dwoje umarło), bo Henryk pragnie zawsze mieć małe bobo w domu... On, taki „sercowy“!

Jest ładna, świeża, energiczna, jako gospodyni, bardzo dobra i straszliwie zapracowana. O ósmej rano musi już być w szkole. Wraca stamtąd o drugiej, celebryje przy obiedzie, przerabia lekcje z dziećmi, myśli o spacerze swych latorośli, o ich garderobie, o kolacji, o praniu, o porządkach domowych, o sprawunkach. Broni swego „węgla i gazu“, jak młoda lwica, przed nieopatrzoną rozrzutnością służącej — i zawsze, na wszystko starczy jej czasu.

Patrzę na nią z podziwem, z uznaniem, z zachwytem.

Mąż jej, zacny i przemiły pan Henryk, także pedagog z zawodu, mieszka stale na wsi, o parę godzin drogi koleją od Warszawy. Odziedziczył bowiem właśnie folwark po ojcu i gospodaruje. Przyjeżdża co tydzień, w sobotę wieczorem, a do zajęć pani Zofji przybywa jeszcze jedno — bodaj że dla niej najmiłsze — oczekiwanie na męża.

Gdy zjawia się wreszcie, upragniony, stęskniony, wiecznie zazdrosny o swój skarb — gruchaniu niema końca, a dziecinne głosy modułują na cały dom dwusylabowe, magiczne słowo: „Tatuś, tatuś, tatuś...“

Znajome panie, spotykając mnie czasem na ulicy, zapytują poufnie:

— A jak tam? Pani Zofja znów przy nadziei?...

— Uhm... — odpowiadam głucho, bo, jako sublokatorka, wiem, ale proszono mnie o tajemnicę. Jak tu jednak utrzymać taki sekret, który lada dzień zacznie krzyczeć?

Szczęście pani Zofji pachnie gołębnikiem. Przez długi czas myślałam, że jest ono jedynem dla niej wymarzonem i doskonałym szczęściem, ale dostrzegłam rysy na złotych ścianach tego pałacu.

Gdy mowa o teatrze, rewji lub fantazjach ostatniej mody, pani Zosieńka chmurzy różowe oblicze. Nosi proste sukienki, skonstruowane przez domową szwaczkę, które nigdy nie podkreślają należycie jej delikatnej urody, nieciekawe pończochy i dwuletnie kapelusze. Koszulki z „subtelnego“ madapolamu świadczą o surowych zasadach „moralności“, a niciane rękawiczki i woda kolońska „dla znawców“ — o tem, że pani Zosia posiada prawdziwą wartość duchową, której mól nie zniszczy, a rdza nie przegryzie.

Nie wychodzi też nigdy poza obręb swego domowego ogniska, nie widuje nowych sztuk teatralnych, rewji, ani kina. Pan Henryk twierdzi, że film bardzo psuje oczy: komedje i dramaty współczesne — same łajdactwa, a rewje — to wogóle „muza podkasana“ i miejsce nieodpowiednie dla uczciwej mężatki. Mógłby tam jeszcze jego żonę zobaczyć jaki jadowity Don Juan i „zagiąć parol“ skutecznie na jej cnotę...

— Czyż nie lepiej nam we dwoje, w domu, gdy dzieciaki bawią się przy nas, co? Powiedz, Zosiuchno...

A „Zosiucha“ rozchmurza się natychmiast. Podnosi ku mężowi różowy dziobek, i mam wrażenie, że zamiast słów rzuci mu w twarz słodko, jak synogarlica:

— Cukrrrru... cukrrruuu...

Gdy jednak gołąb odleci na długi przeciąg sześciu dni roboczych, pani Zosia miewa chwile bezwładów woli i znużenia. Zrozumiałe to zresztą wobec jej stanu, wymagającego wygód, jakich nie ma, zmuszona wstawać wcześniej, jeździć z Marszałkowskiej na Leszno natłoczonym tramwajem, utrzymywać rygor w szkole i w domu.

Odwiedza mnie czasem w moim pokoju, w jeden z tych wieczorów, gdy jest słomianą wdową. Wówczas poprzez słowa, jakie do mnie mówi, widzę jej wielkie małżeńskie szczęście, patrzę na nie, rzecz można, zbliżka, i kiwam głową z uznaniem. Służę przecież sama „za parobka“, od rana do wieczora, w tej lub owej firmie. Smaruję pieczołowicie mazią koła cudzych, triumfalnych rydwanów, wieczorem zaś spożywam w samotności mój chleb razowy... z masłem; ale gdyby wzamian za moją dolę, ofiarowano mi szczęście pani Zofji — bronilibym się przed niem rękami i nogami, krzyczałabym głośno: oddajcie mi moje nieszczęście, ono było takie przyjemne!...

Pani Zofji właściwie nawet czytać niewolno. Mąż jest zazdrosny o jej myśli. Z tego samego powodu niewolno jej również grać na fortepianie... chyba tak czasem, trochę, jakieś znane ludowe melodie...

Wszystkiego się wyrzekła za tę odrobinę cukru... cukru...

O godzinie dziewiątej wieczorem mieszkanie państwa Henrykostwa zalega już głęboka cisza. Gołębięta śpią, a pani Zosia, samotna pod szafirową wyprawną kołdrą, liczy tygodnie, dzielące ją jeszcze od oczekiwanej chwili rozwiązania. Jeden tylko niespokojny, sublokatorski duch, w miękkiach (aby nie zbudzić śpiących) pantoflach, miota się od ściany do ściany, biedząc się nad rozwiązaniem zagadki: jak przesunąć należy punkt widzenia rzeczy, aby linja, dzieląca szczęście od nieszczęścia, stała się tem, czem jest istotnie — prostem złudzeniem optycznym.

S. Borowska.



K O N W A L J A

(n o w e l a)

Goniec uchylił drzwi:

— Telefon do pani.

Wiśka oderwała palce od maszyny i, mimochodem poprawiając sobie włosy, podeszła do aparatu.

— Słucham.

— Halloooo...

(Ciepły, serdeczny ton. Wydłużone ponad miarę „o“. Głos — niemal uwodzicielski. Znajomy?..)

— Kto mówi?

— Nie próbuje pani nawet odgadnąć?... Czyżby tajemniczość była tylko przywilejem kobiet?..

(W głosie — po tamtej stronie aparatu — drży uśmiech).

— Proszę pana, telefon w biurze nie może służyć do rozwiązywania zagadek. Pytam raz jeszcze: kto mówi?

— Oh lá lá!... Dlaczego tak ostro? Wiem, wiem, że dzwonię do biura. Niemało się nabiedziłem, nim panią wogóle w jakimś biurze odnalazłem...

— Jakto? Nie rozumiem...

(Copravda, coś nie coś się wyjaśnia — ale Wiśka nie daje tego poznać po sobie...)

— A no tak: wczoraj w nocy, w wagonie, wspomniała pani, że uroczę jej łapki — bogi! gdzie tu sprawiedliwość!... trudnią się bębnieniem na Remingtonie w biurze żeglugi okrętowej, a że na szczęście biur tych niema tak wiele, mógłbym bez trudu sporządzić statystykę urzędniczek z imieniem o podobnym brzmieniu: są trzy Wiktorje, dwie Jadwisie, jedna Misia, i nareszcie poszukiwana, autentyczna Wiśka...

— Jakiem prawem pan mnie szukał? Przecież zabroniłam...

— Zakazy kobiece istnieją właśnie po to, by je omijać.

— Ale ja jestem inna...

— Nie wątpię; ale tak bardzo chciałem panią zobaczyć, z taką rozkoszą wspominam te jasne oczki, które z tak inteligentną uwagą wpatrywały się wczoraj w nocy...

— Pan sobie naprawdę za wiele wmawia! I wogóle — Wiśka w pamięci szuka czegoś oryginalnego, przekonującego, a zarazem odpychającego... o, jest! — i wogóle: pańskie słowa są puste, jak weksle bez pokrycia...

— ... ale jaką mają wartość obiegową!

(Śmiech. Wisia musi przyznać: — pełen wdzięku. Ta wieczna gotowość odpowiedzi, to zawrotne tempo słów oszałamiało ją już wczoraj; dziś, przez telefon, poprostu nie może mu nadażyć).

— Moja śliczna dziewczynko, niech pani posłucha przez chwileczkę! jest taki wierszyk Boy'a: „Dwie są rzeczy mniej smutne, niż inne, na tym świecie, przepojonym łzami: albo rymy dobierać niewinne, lub

usteczek dobierać ustami“... Jestem sam w domu, panno Wisiu, zakatarzony po wczorajszej podróży, jest mi smutno i pocieszam się odczytywaniem wierszyków...

— Więc cóż z tego?..

(W sekundę po powiedzeniu tych słów Wisia połapała się, że postawienie tego pytania było fatalną niezręcznością).

— Cóż z tego? Nie domyśla się pani najprostszego wniosku, Wisieńko kochana?

— Już „Wisieńko“ i już „kochana“! Muszę panu powiedzieć, że nie jestem przyzwyczajona do tego tempa...

— Któżby w epoce samolotów jeździł dyliżansem?... Tak miło nam się wczoraj gwarzyło i tak wielką mam ochotę powiedzieć pani jeszcze coś nie coś o sobie... przeczytać pani kilka wierszy...

(Wiśka czuje, że za chwilę stanie się coś niesłychanego — do jakich granic może sięgać zuchwałość tego nieznanego?..)

— Obawiam się, że pan jest u progu bezczelności — cedzi z rezerwą.

— Hop! przeskakuję ten próg!... Skoro mi pani zarzuca bezczelność, niech przynajmniej na to zasłużyć: dziś cały wieczór nie wychodzę, a mieszkam zupełnie sam, i będę czekał na miłosierną duszyczkę z tomikiem wierszy i czarną kawą... Proszę pamiętać: b ę d ę c z e k a ł.

Wiśka martwieje ze zgrozy:

— Czy nic więcej nie ma pan do powiedzenia?

— Owszem, jeszcze adres: Moniuszki 2.

— Arrogant!

Od ilości „r“, od trzasku rzuconej słuchawki aż się szyby zatrzęsły.

Wiśka, czerwona z oburzenia, pełna niewyladowanej pasji, wróciła do maszyny.

Ale robota jakoś nie szła. Gdy Wisia po raz trzeci omyliła się w tasiemcowem słowie „Bodenkreditassekuranzgesellschaft“, podarła w strzępy arkusz i zdecydowała przyjść do biura nazajutrz nieco wcześniej, by przepisać nieszczęsny niemiecki list.

Ostatecznie, w biurze i tak już nie było nikogo. No, a teraz umyć tylko ręce, przyczesać włosy — te niesfornie wymykające się z pod beretu loczki — i przypudrować nieznośne wypieki, ślad rozmowy telefonicznej.

— Ach, co za bezczelny arogant!!

Opinja ta wracała natrętnie, bezapelacyjna i surowa.

Ale wślad za nią wracało wspomnienie wczorajszej nocy w wagonie.

Stuk kół wagonu jakgdyby zagłusza głos sumienia — bliskość, od której niema ucieczki — zawieszanie niejako ponad czasem i przestrzenią — inna od

powszedniej rzeczywistość gubi w człowieku poczucie miary. Poprzez zerwane tamy przelewa się potok szczerości; mówi się o sobie łatwo i poprostu, a choć nazajutrz cześć wewnętrzna powiadamia o przekroczeniu należytych granic, już niczego nie odda władca magja podróży...

Twarz wczorajszego towarzysza — który, trzeba przyznać, umiał równie dobrze mówić, jak słuchać — wracała przed oczy Wiśki. W spojrzeniu jego czarnych, odrobinę wypukłych oczu było coś wdzierającego się, coś, jak napastliwa pieśczoła. Szczególnie, szczególnie... kuszące były usta — czerwone, wydatne, mocne — rzeczy można: obiecujące usta...

*„...albo rymy dobierać nierwinne,
lub usteczek dobierać ustami...“*

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, ten pan nie był poetą i jeśli się już trudził dobieraniem, to raczej nie rymów...

Wiśka postanowiła nie roztrząsać dłużej tej zawilej kwestji i, starannie nałożywszy futerał na maszynę do pisania, wyszła z biura.

Przyjemny zimowy chłodek wionął w twarz. Gwiazdki śniegowe usiały futerko przy kołnierzu, a jedna z nich filuternie zawisła na rzęsie. Wiśka szła rażno po ubitym, chrzęszczącym śniegu.

Wracać do domu? Och, jakże się nie chce! Pusty pokój, źle opalony, nierozpakowana walizka, samotna kolacja, przyrządzona na maszynie spirytusowej — ot, panińskie gospodarstwo! Nie, nie! Już lepiej spacerować po ludnych ulicach, być żywą kropelką w pulsującym krwiobiegu miasta.

Wyciągnięta wstęga asfaltu szklila się czarnym lśnieniem. Z mijanych wystaw sklepowych uśmiechały się ponętnie rozłożone książki, wabiły draperje kolorowych jedwabi; piramidy złotych pomarańcz spoczywały obok ciężkich kiści zamorskich winogron; gdzieindziej znów ze stosu kapryśnych poduszek wynurzał się nonszalancko i boleśnie uśmiechnięty Pierrot. Nad rozrzutną perspektywą placu zapalało się i gasło promieniste słońce reklamy.

Wesołym gwarem perliły się dzwoneczki przy sankach. Jakaś para studencka, trzymając się za ręce, jak dzieci, wpatrzona w siebie, z uśmiechem potrąciła Wiśkę i, nie przeprosiwszy nawet, poszła dalej — beztroska, pogodna, zadowolona z życia.

Skurez zazdrości ścisnął serce Wiśki:

— Tamci są razem... dobrze im! A ja sama, samiućka...

Gwiazdka śniegowa spadła na wargi i roztopiła się w żalonym westchnieniu. Śnieg miał smak mrozonego wina.

Kiedyż to Wiśka piła takie zimne, a zarazem

pałacę rozkosznie wino? Złociste „Château Yquem“? Ach, prawda, w Krynicy! Dwa tygodnie urlopu minęły, jak baśń kryształowa. I znów od dziś rana oczy wlepione w klawjaturę maszyny, palce biegające wślad za nerwowym stukiem, zatechła nuda pracy biurowej — znów, do przyszłego urlopu. Niedziele o nieskończonej długości popołudniach, gdyż ranki, leniwe i gnuśne, ciągną się aż do obiadu, i wieczory w kinie, gdzie z ekranu spija się, jak narkotyk, krótkotrwałe nasycenie wytężonej, bezosobowej wielkomięskiej tęsknoty. A potem — od początku smutny poniedziałek...

Krynica... Ach, Wiśka ma jeszcze przed oczyma aż siną biel śniegu, żłobioną szlakiem nart. I smukłą postać pewnego narciarza, obciągniętą w jaskrawy sweater. Zaczęło się, jak pospolity flirt, a skończyło tak doprawdy inaczej...

Poprostu ktoś go przedstawił w kawiarni, i poprostu oboje z Wiśką spodobali się sobie. I zaraz potem razem poszli roześmiani na saneczki, i w zawrotnym wicherze spadania Wiśka czuła, oprócz rozkoszy pędu, rozkosz opieki mocnego męskiego ramienia.

Nigdy nie zadawał żadnych pytań i nigdy nie mówił nic o sobie. Ot, zimowa przygoda. Było dobrze, było wesoło, czegoż trzeba więcej?

Z kalejdoskopu doznanych wrażeń zostały ślad właściwie tylko dwa zdarzenia: dyskretna przyjaźń z narciarzem i błyskotliwa, dowcipna rozmowa wczorajsza w pociągu. Tak, jak ów pan o czerwonych ustach, na Wiśkę nie patrzył nikt dotąd — i w miarę tych spojrzeń, po plecach przebiegał słodki, cierpący dreszcz, jak przy dotyku mory...

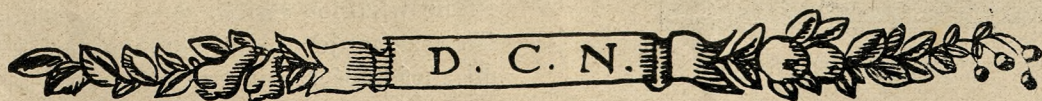
Chcąc otrząsnąć się ze wspomnień, Wiśka przystanąła przed wystawą.

Za lustrzaną szybą mdlały główki gibkich, poplamionych rdzą złocieni. Róże tuliły wstydliwie ciemne, rubinowe wnętrza. Okryty mgłą jakby ślubnego welonu, chełpił się bielą krzak bzu. Jak wesołe płomyki, paliły się nad zielenią mehu kielichy tulipanów. Wykrętny i poządlivy stronił od innych kwiatów dziko nakrapiany storczyk. W kąciaku dzwoniły najcichszym dzwoniem śliczne serduszka konwalij.

— I pomyśleć: tyle jest pięknych kwiatów, a niema ich komu posłać...

Kamienny tors miasta wzdymał się potężnym oddechem. Gorączka pośpiechu, która trąbi sygnałami aut i iskrzy się w fioletowym błysku elektrycznym między drutem a pałakiem tramwaju, i gorączka wieczornej tęsknoty, która wisi w mlecznych kulach lamp łukowych i rozlewa się w różowej łunie nad miastem. Gorączka, która pcha do teatrów po krótkie zaczerpnięcie oddechu, do kin po srebrny narkotyk egzotycznych wrażeń, w ramiona miłości — ach, wszystko jedno czyje! — na chwilę, czy na wieczność!

Zuzanna Melicka.



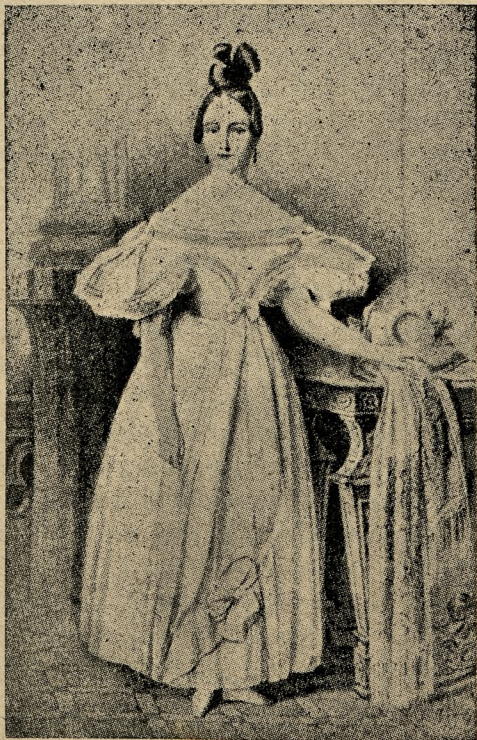
W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

Łabędziorne filizanki

U Zofji Węgierskiej, w paryskiej Sofjówce, jak w tymże samym czasie u Narcyzy Żmichowskiej, na Miodogórze, zbierano się w niedzielę — święto ludzi pracujących, uroczystość proletariatu. W każdym człowieku jest tradycja siódmego, odpoczynkowego dnia, ale w tych, co tydzień cały są w okowach, jest jego potrzeba.

Po ostatnim przyjęciu pani Zofja zrobiła przegląd swej porcelany i zdecydowała, że stanowczo za mało posiada filizanek. Kłopot wielki, wciąż należy je zmywać — gdy goście dopiszą. Postanowiła więc dokupić pół tuzina i w jakieś popołudnie wybrała się na oględziny do wielkich magazynów. Ale ani w Luwrze, ani w „Żołnierzu Pracowitym“, ani nawet w „Córce Źle Strzeżonej“ nic odpowiedniego nie znalazła. Przypadkiem zajrzała w małe okno wystawowe i zobaczyła za szybą zgrabniutkie, małe, nowomodne, o jakich dawno marzyła... Białe-złote łabędzie, wygięte ślicznie; w wydrażone ich wnętrza nalewa się płyn, pije się z dziobka, trzymając za wachlarz piór ogona. Księżna Matylda pierwsza na przyjęciach swych je pokazała, wywołując zazdrość — samej cesarzowej...

Bardzo drogie! Pani Zofja odeszła od pokusy — zbyt jednak szybko, żeby móc do niej poraz drugi nie wrócić. To nic, trochę się popości! A filizanki zostaną... Cenniejsze jeszcze przez to, że kaprys chwili pozwoliły zatrzymać.



Księżna Matylda.

Teraz stoją na stole, gotowe do zachwytu innych. Pani Zofja zapaliła globowe lampy, które oświetliły salonik, gdzie wszystko ładem, układem i smakiem tchnęło. Pełno było rysunków ulubionych mistrzów włoskich, posążków starożytnych, na Quai wyszukanych. U okien, na białych tiulowych zasłonach, z bluszczu firanka listowa. Okna Narcyzy też spowite w muślinowe zasłony, też bogato w bluszcze były ubrane, że tworzyły jakby ogrodową altanę.

Ledwo skończyła gospodarskie zachody, ktoś szarpnął za taśmę, wiszącą u drzwi. Pierwszy przyszedł Leon Kapliński, malarz, jak pierwszym może gościem na Miodogórze był brat jego, Edward, duchowy siostrzan poetki.

— Czytałem pani ostatnią kronikę w Dodatku do Czasu. Jak pani ponętnie opisuje Paryż! O niej to pewno Klaczko myślał, mówiąc o korespondentach, którzy wyuczyli ludzi w kraju marzyć i tęsknić za Paryżem... „Życie dźwięczne, wesołe, błyszczące, kryształowe kawiarnie, wszystko, co świeci i ku wygodzie służy, co bawi i przyjemnie zadziwia“... Tak, przez różne kamienie ludzie na świat patrzą, pani przez zmienny blask opala...

— Klaczko mnie chwali, ale Kalinka gani... W przewodniku ma dać poznać świat inny, aniżeli mój; świat cierpiący, chrześcijański... Maluje wzniósłe zadania Towarzystwa Wincentego à Paulo, a nie może mnie zachęcić do apostołowania miłości bliźniego, jako najwyższej cnoty...

Pani Zofja była jeszcze w tej chwili życia, gdy i piękno i szczęście wydają się jedynym celem istnienia. Choć szczęście ją zawiodło, wierzyła, że innych nie zawiedzie.

— Co za styl, a jaka lekkość! Zupełnie ośmnasty wiek! Glissez, n'appuyez pas... Przytem ta mądrość i ta wiedza! Szkoda tylko, że pani pisze bezimiennie, pani, najwięcej czytana autorka polska. Czasem tylko podpis. Dlaczego pani tak rzadko podpisane pisze artykuły?

— Bo to wiele wymaga czasu napisać artykuł specjalny, o czemś jednym! A ja tak mało mam czasu! Przytem tyle potrzebuję pieniędzy...

— Naco pani potrzebuje tyle pieniędzy?

— A jeść, a ubrać się, a was przyjąć w niedzielę?...

— Tak smutno pisze pani o poetach... I ich natchnieniach...

— Bo wiem, czem w rzeczywistości były — ukochane wielkich ludzi... A co do nich samych, przeproszam za moje uwagi, zaczerpnięte z bliższej z poetami znajomości...

— W rozmowach z nami daje pani najpiękniejszą część swej duszy. Ale wszystkiego jeszcze nam pani nie daje! Męki ducha, bo mieć je pani musi, powierza jedynie Bogu. Hartowna z pani i nieco harda dusza. Nie wiem, czy można? oddawna zapytałem chciałem, dlaczego wasze z Gabryellą stosunki zerwane? Tyle miała dla pani uwielbienia i miłości...

Pani Zofja smutnie:

— Nie wiem, widocznie coś się jej w mojem obecnem życiu nie podoba. Nie wiem... Ona dla zimnej zasady może zerwać najsilniejsze węzły. Narcyśka może kiedyś nawet z Bibianką Moraczewską przestać listować... Ze swoją lilijką przeczytają...

— Przecież panią, słyszałem, we Wstępnym obrazku do „Poganki“ dała...

— Tak, sama mówiła, że to ja jestem Augusta. Augusta, która byłaby artystką, gdyby nie brakło jej pracowitości. Pracowitości mi nie brak, za wiele pracuję i dlatego może artystką nie jestem. Zresztą wogóle Gabryella mnie nie rozumiała i wedle swej myśli, nie mojej prawdy, podała.

Wieczór ten rzeczywiście wiele gości ściągnął do paryskiej Sofjówki, przy ulicy Lanval. Kapliński pomagał nalewać herbatę. Wszyscy się zachwycali nowymi filiżankami.

— Kto je pani sprezentował?

— Sama sobie...

— Pani Zofja zawsze coś wynajdzie! I cesarzowa z piękniejszych nie pije.

— E, co tam cesarzowa! ona pije, z jakich jej kupią, ale księżna Matylda sama sobie dobiera i te wybrała. Od niej poszła moda labędziowych filiżanek.

Pani Zofja wesoło krzątała się przy samowarze. Gość, z kraju przybyły, dziwił się, że w Paryżu pije się herbatę.

— Od niedawna — objaśniła. — Zwyczaj ten z Anglii przywieźli bankierzy: Rotszyldy i Lafitty. Nawet sprowadzili albiońskie dziewice, aby nalewały ten płyn, teraz bardzo wzięty, dotąd uważany za lekarstwo.

Pan Feliks cieszył się spotkaniem dawno niewidzianego druha:

— Postarzelismy się...

— Ano, postarzelismy...

— A cośmy zrobili?

— Ano, nic...

— Ej, warto dać nam po pięćdziesiąt...

Pani Zofja szczerze się oburzyła.

— Co też ty mówisz, paneczku kochany? Przecież tyle pracujesz i tak pożytecznie!

— To mnie do pracy Eustachy nagania. Ej, gdyby nie ten Eustaszek...

Eustachy Januskiewicz rzeczywiście namówił Feliksa Wrotnowskiego do napisania geografji dla szkoły Batiniolskiej. W tymże czasie Gabryella, natchniona entuzjastką, pisała Jeografję dla szkół Kongresówki i nie mało miała z nią kłopotów.

Pan Feliks rozprawiał o wyniku pokoju paryskiego:

— Stary książę, z pomocą młodych głów, Klaczki i Kalinki, czynił, co mógł, abyśmy w tym koncercie europejskim nutę swoją ładnie wygrali. A pokój zostawił Polskę w tem samym położeniu! Podobno tyle, że Emigracja nie będzie wydalona z Francji; pozostanie, jak dawniej, w swej sile, zachowa zakłady i szkoły, nie będą jej cofnięte wspomżenia. Ale to przecież mało, jako wynik wojny europejskiej. Dzień 3-ci maja nieskładnie jakoś nadszedł tego roku, bo w niedzielę, więc dopiero piątego będzie na Quai d'Orléans posiedzenie. Uważano, że w święto zbyt wiele osób przyjść może, a liczna publiczność, gdy cicho siedzieć trzeba, zaszkodziłaby mogła sprawie. Ciekawość, co nam książę powie, jak będzie się tłumaczył? Ale im to słowa rzecz nie można.

— Bo, paneczku kochany, polak boi się krytyki, jak dziecko różgi. Każda, słuszna, czy niesłuszna; mądra czy głupia, o chorobę a nawet o śmierć go przyprawia.

— Mogli się już tego we Francji wyzbyć.

— Polak swoje wady i zalety wozi ze sobą w podróznym tłumoczku; chociaż wiele zapomniał, niczego się nie nauczył.

— Ona ma rację! — pan Wrotnowski patrzył z dumą na faworytkę, a potem rozgadał się o pokoju, mówił wiele i dobrze, jak to on, kiedy chce gadać o rzeczy poważnej. (d. c. n.) *Aura Wyleżyńska.*



Napoleon III z cesarzową Eugenją i synem, księciem Ludwikiem Napoleonem.



Stanisława Kędziarska: „Nad wodą“.

WYSTAWY MALAREK

Ostatni miesiąc przyniósł Warszawie kilka zbiorowych wystaw malarskich prac kobiecych, świadczących o poważnym artystycznym wysiłku i o dużej rozpiętości kierunków.

Najbardziej nowoczesnym, ruchliwym i śmiałym jest niewątpliwie talent Jadwigi Umińskiej, uczennicy prof. Pruszkowskiego, współczesnej z t. zw. Szkołą Warszawską, ale zupełnie od niej uniezależnionej.

Parę lat temu młoda artystka zadokumentowała swoje wejście w sztukę chłodno stylizowanym malowidłem o charakterze wybitnie dekoracyjnym, p. t. „Owocobranie“. Jest w tej pracy akademickiej, epigońskiej, tworzonej na modłę mistrzów, i duża kultura, i opanowanie środków technicznych, ale niema młodości, niema swobody, niema wolnego instynktu artystycznego. Indywidualność twórcza milczy.

Obecnie po dłuższej przerwie w pracy — przemówiła. I jakże mocnym głosem! Z całą pasją młodości Umińska rzuca się w malarstwo, jak pływak w spieniony nurt, dając folgę drzemiącym w niej siłom dynamicznym.

Ani śladu dawnych, sztucznym nieco wykwintem przytłumionych i przydymionych kolorów; podziały się gdzieś płynnie zaokrąglone sylwety „Owocobrania“. Natomiast wybiła się na pierwsze miejsce barwa — żywa, soczysta, jedrna i brutal-

na, olśniewająca rozrzutnym przepychem, np. w pejzażach z Kazimierza.

W portretach i kompozycjach portretowych najważniejszą troską artystki jest wydobycie wyrazu przy jednoczesnym zharmonizowaniu go z rytmem postaci, nieraz z doskonałym wynikiem, np. w portrecie pani G. E. Turnay, często nie gardząc świadomą deformacją sylwety na rzecz ekspresji („Śpiąca dziewczynka“, „Dziewczynka w lesie“).

Kompozycja portretowa „Białe rękawiczki“, to uchwycenie na gorącym uczynku momentu dramatycznego, w którym osiã zarówno malarskiej, jak i literackiej koncepcji są owe „białe rękawiczki“.

Z tych wszystkich prac, bez względu na rodzaj techniki (olej, tempera z akwarelã, węgiel, ołówek), bije bogaty temperament artystyczny, szarżujący na najgroźniejsze pozycje malarskie, nie rozwiązujący ich mozolnie, ale biorący je szturmem, niepohamowana furją młodości.

Wśród tych wulkanicznych erupcyj odmienną fizjognomiã zastanawia „Obraz ścienny w pałacu w Czyżowie“ — kompozycja dekoracyjna, oparta na motywach kontuszowych.

Stylizację barokową, zgodną z charakterem pałacu z XVII-go wieku, artystka starała się zastąpić rozmachem i szerokością faktury, będącej raczej wyrazem jej indywidualnych skłonno-

ści, niż ducha epoki. Świadczy ona jednak dodatnio o jej możliwościach dekoracyjnych, idących już dziś drogą bardziej impulsywną, niż „Owocobranie“.

Z dziedziny dynamiki w dziedzinę statyki przynosi nas Jadwiga Lewakowska-Czarnecka kolekcją swoich pejzaży, wystawionych w Salonie Garlińskiego. Celem artystki było wydobyć z krajobrazu i utrwalić nastroszenie chwili, która w rzeczywistości przemija, pozostawiając na siatkówce oka przelotny obraz, wprędce zatarty nowymi wrażeniami wzrokowymi.

W tym wypadku artysta ma przed sobą dwie drogi: albo fotograficzną niemal ścisłość, albo syntetyzującą swobodę. Lewakowska skłania się raczej do pierwszej, niż do drugiej.

Pejzaże jej są wiernym odbiciem rzeczywistości widzianej, nie zdeformowanej świadomości w myśl wskazań najnowszych prądów w sztuce. Są to rzeczy, chwytające za serce swą bezpośredniością, szczerym, niezakłamanym stosunkiem do sztuki, ciepłe podświadomym liryzmem. Pulsują one rytmem barw i światła, instynktownie podporządkowanych nakazowi wewnętrznej harmonii i równowagi.

Jest to realizm, zmodyfikowany zarówno wpływami dzieł Stanisławskiego i Szkoły Krakow-



Habrik-Wiśniowska: „Uczennica“.



Jadwiga Umińska: „Białe rękawiczki“.

skiej, jak i osobistym, nawskroś kobiecym stosunkiem artystki do zjawisk natury.

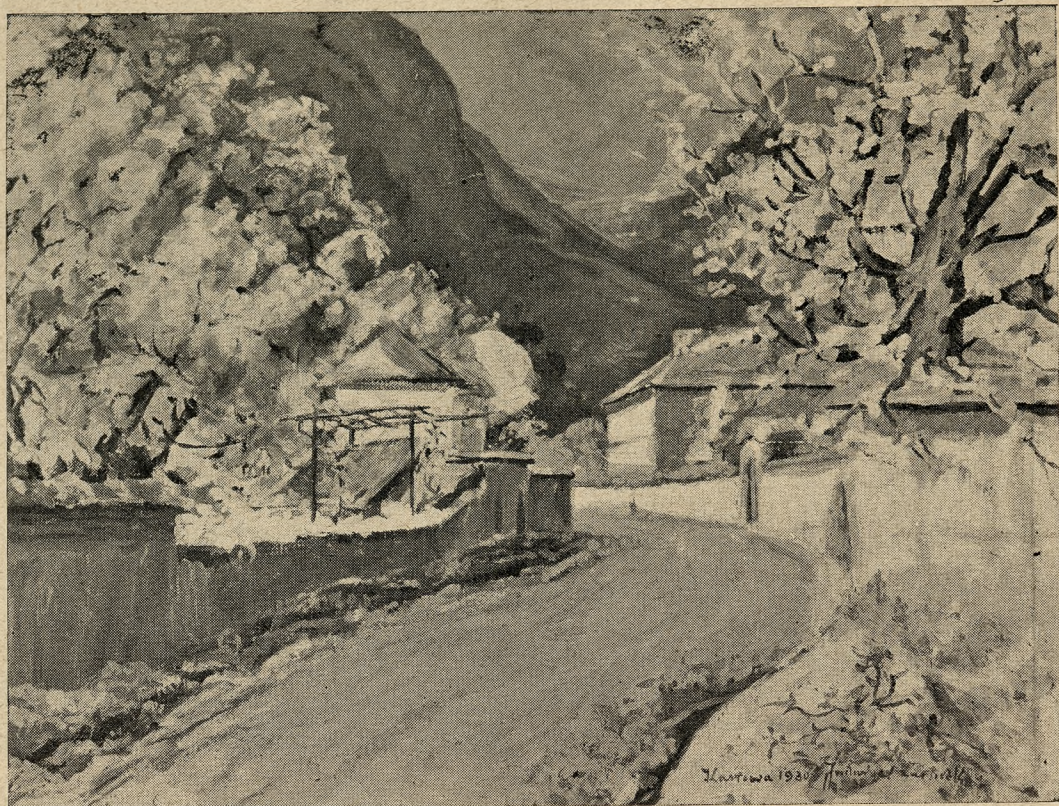
W ostatnich pracach Lewakowskiej, np. „Ostatnia chwila ciszy“, „Noc“, „Okwiecenie“, „Mrowie ludzkie“ — uwydatnia się dążność do wydobywania czysto malarskich efektów zapomocą kontrastowego zestawienia barw, lub harmonijnej ich gamy. Jest to nowy krok ku rozszerzeniu horyzontów artystycznych, rokujący najlepsze nadzieje na przyszły rozwój młodej malarki.

W lokalu Tow. Artystycznego wystawiły swoje prace dwie malarki: Stanisława Kędzierska i Jadwiga Habrik-Wiśniowska. Kędzierska, znana dotychczas głównie, jako twórczyni pięknych kwiatów akwarelowych, ujawniła tutaj giętką indywidualność artystyczną o rozległej skali możliwości.

Może ta łatwość w posługiwaniu się rozmaitą techniką zarówno w portrecie, jak w pejzażu, graniczy nieraz z banalnością, przeszkadza artystce do wydobywania pełnego wyrazu, skłania ją do prześlizgiwania się ponad zagadnieniami malarskimi, które mogą stanowić doskonałą odskocznicę do wybicia się ponad interesującą przeciętność.

Tę przeciętność i poprawność znajdziemy w pracach Habrik-Wiśniowskiej. Trafnie ujęta „Uczennica“ świadczy jednak o pewnych zdolnościach chwytania cech typu, co może być punktem wyjścia do specjalnych wysiłków artystycznych w tym kierunku.

Stefania Podhorska-Okółtowa.



Jadwiga Czarnecka-Lewakowska: „Okwiecenie“.

W KSIĄŻCE I ŻYCIU

Stosunek twórcy do rzeczywistości był, jest i będzie naczelnym zagadnieniem w dziedzinie sztuki wogóle, a literatury w szczególności. To ostatnie zastrzeżenie nie jest słowem, rzuconym na wiatr, bo w literaturze właśnie może najsilniej uwidocznić się rozdźwięk pomiędzy światem myśli człowieka, a realnymi założeniami życia. Czasem, wielka różnica jest walorem dzieła literackiego, czasem — jest cechą ujemną, zależnie od siły napięcia talentu; ale zawsze rozpatrzenie anegdoty, lub postaci powieściowej zarówno z punktu widzenia literackiego, jak i życiowego, mogłoby rzucić wiele światła na pewne psychologiczne zagmatwania.

Przytem, życie w książce ma swoje własne prawa i nakazy artystyczne, czy filozoficzne, a rzeczywistość także swoje, związane z istniejącym porządkiem świata. Z tego powodu, typ, mądrze i jasno uzasadniony w książce, w zetknięciu z życiem realnym traci rację bytu i wszelkich swoich poczynań.

Cykl niniejszy ma na celu właśnie wykazanie tych różnic i urzeczywistnienie człowieka książki. Nie będzie to, oczywiście, ani wyczerpujące, ani wszechstronne, ale poprostu zbyt wiele się mówi o „inności“ kobiet współczesnych, zbyt wiele oryginalnych typów niewieścich daje nam literatura, aby można było przejść obok tych zagadnień obojętnie, nie zastanowiwszy się, o ile te postacie, zrodzone ze spekulacji myślowej człowieka, postacie o psychologii, tworzonej jak mozaika, z namysłem i w trudzie, o ile one, powtarzam, sprostają zadaniom rzeczywistości i ostoją się wobec jej praw, nakazów i kryterjów. Czy rozwieją się, jak mary, przy pierwszej jasności dnia, czy też zarysują swe kontury jaśniej i wyraziściej.

IRENA *).

W długiej galerji typów niewieścich, jakie w ciągu stuleci przyniosła nam literatura, a które — o, wie-

czysty paradoksie! — często staramy się odnaleźć w życiu, żona Soamesa Forsyta jest najmniej uchwytna i przy wprowadzaniu jej w świat rzeczywisty wnosi wiele komplikacji i kolizji. Całą, taką, jaką nam daje powieść, do życia realnego przenieść jej nie sposób. Przeszkodą w tem będzie przede wszystkim ustosunkowanie się do niej samego autora, który we wstępie, chcąc rozwiązać zagadkę psychiki Ireny, wprowadza pierwiastek irracjonalny, podnosząc ją do godności symbolu Miłości i Piękna.

Wobec tego onieśmielającego tytułu, Irena Forsyte jest dla czytelnika trochę zamgloną zjawą, i zawsze w postawę naszą wobec niej włożymy nieco ostrożnego patosu, jak się zwykle czyni wobec przeżyć, wymagających solenności nastroju.

Wśród zastrzeżeń i tłumaczeń autora, postać Ireny urasta (a może maleje?) do rozmiarów pierwiastka psychicznego w duszy poszczególnych Forsytów. Tak pojęta, doskonale tłumaczy pośredniość swego istnienia w powieści; jest to poprostu jedyna możliwa forma jej bytu. Rzucona na inne tło, nie byłaby zapewne tak doskonałą pełnią swojej prawdy, a jej „mariage de raison“ pozostałby zwykłą omyłką życiową. Z chwilą jednak, kiedy to „mariage de raison“ wpełnęło ją do rodziny Forsytów, gdy postawiło ją oko w oko z psychiką posiadacza — Soamesa, Irena stała się symbolem, a jej małżeństwo — fatalizmem. I mądrze uczynił autor, przedstawiając nam Irenę jedynie, jako odbicie w duszach poszczególnych Forsytów;

*) John Galsworthy: „Saga rodu Forsytów“. — Tow. Wydawnicze „Rój“ — Warszawa.

w bezpośrednim działaniu musiałaby zejść choć na chwilę ze swego piedestału, czytelnik z łatwością mógłby stracić zaleconą w stosunku do niej przez autora solenność. A wtedy...

Ale spójrzmy narazie na Irenę z powieści, na Irenę, której na imię Piękno i Miłość.

Posiadacz Soames zdobył ją siłą pieniędzy i urokiem komfortu, a także wytrwałym pragnieniem posiadania. Chodząc teraz po swej galerji obrazów, po labiryncie zbiorów, z tem samem uczuciem wchodzi z kolei do pokoju żony, aby podziwiać jej piękność, która tak samo niepodzielnie do niego należy. Cała miłość Soamesa do żony — to uwielbienie kolekcjonera dla jakiegoś niezwykłego okazu w swoim zbiorze. Nawet jego zmysłowe pożądanie — to bunt przeciwko jej Pięknu, które zachowało w sobie jednak coś takiego, co nie jest jego własnością. Te granice posiadania Soamesa — to kwintesencja Ireny, pojętej, jako symbol. Piękno nie udziela się czynnie, emanuje raczej z siebie swoje wartości, i tylko o tyle — o ile psychika, powiedzmy, estety na to pozwala, o ile ogarnięcie tego Piękna leży w jego możliwościach. Możliwości Soamesa nie sięgały daleko — gorzej: nie osiągały jego aspiracyj. Z tego powodu jest on ofiarą wieczystego rozdźwięku między możliwościami odczuwania, a pragnieniem wchłaniania Piękna, które mimowolnie odczuwał w żonie. Klucz do tajemnicy tego Piękna, do genezy, powiedzmy, która powstała z jakiejś realnej, łatwo uchwytnej rzeczywistości, mogą posiadać tylko wybrani, dostatecznie subtelni, czy dostatecznie mądrzy.

Typ taki, który byłby odpowiednikiem Ireny, i który tem samem byłby drugim symbolem w powieści, nie istnieje. Może, może byłby nim Bosinney, gdyby wspinanie się na wysokości symbolizmu nie przypłacił życiem; ale nie był nim nawet stary Jolyon, bo nie mógł z Ireny nic więcej wykrzesać ponad biernie przyjmowanie jego uczucia. Wszyscy pozostali ludźmi zwierciadła, w których odbija się w najróżnorodniejszy sposób dusza Ireny — stoją bliżej lub dalej od ideału, dla którego tajemniczy sfinks Piękna przestałby być zagadką. Dążenia górne każdego z nich są tragedją, czy to będzie śmieszny snobizm Swithina, czy głębokie, cudowne uwielbienie starego Jolyona, czy bezgraniczne oddanie się Pięknu Jolyona młodszego.

Piękno zaś, jak każdy irracjonalny byt, pozostaje niezmiennie, niewzruszone, emanujące z siebie swe wzniosłe wartości, ale tylko w obrębie ludzkiego zachwyty. Samo przez się, niedostrzegane przez nikogo, nie istnieje, i dlatego w powieści Galsworthyego niema Ireny samej w sobie, Ireny żywej i czującej poza przepojonemi jej Pięknem Forsytami i niezależnej od nich.

Nie jest ona żywą z krwi i kości kobietą, nawet jako matka, bo odbija się jeno w zachwyconych źrenicach syna, który nie darmo jest także Forsytem. I dlatego zapewne poświęca dla niej swoje szczęście. Czy i o ile była tu winna Irena — nie wolno nam narazie sądzić. Są wieczne prawa, rządzące symbolami, i nie wolno oskarżać ich o nic, co nie byłoby sprzeniewierzeniem się samym sobie. I dlatego Irena umyka naszymu krytycyzmowi, bo cokolwiek czyniła — źle, czy dobrze — czyniła gwoili swemu wielkiemu Pięknu, które jest jej jedynym celem na kartach tej powieści.

Postaramy się jednak przenieść ją w życie. Przypatrzmy się jej przedewszystkiem: „Wysoka, kształtna kobieta, którą jeden z członków rodziny porównał niegdyś do pogańskiej bogini...“; a dalej: „Dłonie jej, obciążone perłowym zamszem rękawiczek, skrzyżo-

wane były jedna na drugiej; poważną, uroczą twarz skłoniła nieco na bok, przykuwając do siebie spojrzenia wszystkich mężczyzn. Postać jej kołysała się zwiewnie, jakgdyby w takt poruszania się powietrza. Leciuchny, ciepły rumieniec słabo barwił jej policzki; wielkie, głębokie oczy miały miękki wyraz słodczy. Nadewszystko jednak lgnęły męskie spojrzenia do jej warg — zadających pytania, czy odpowiadających na nie z niezmiennym, przyćmionym zawsze uśmiechem. Były to wargi zmysłowe i razem słodkie, zdające się tchnąć ciepło i aromat wonnego kwiatu“.

Taką oto była Irena, Soamesowa żona, i do tej pory jest jednolita — w książce i w życiu. Gdy jednak pójdziemy o krok dalej od jej fizycznych walorów i zechcemy Irenę urzeczywistnić, wprowadzić w realny świat życia, jego praw i zasad — powstaje druga Irena, równie prawdziwa i przemawiająca do nas, jak pierwsza, ale zupełnie inna. Przyczyną tej zmiany będzie zdjęcie z bark Ireny ciężaru symbolizmu.

Bo oto z tą chwilą musimy na nią spojrzeć trzeźwiej i krytyczniej i nie możemy rozgrzeszać w imię ideału Piękna. Sądzmy więc.

Irena — sierota, na łasce krewnych — w imię swych kalkulacyj życiowych wychodzi zamąż za bogatego Soamesa Forsyta. To już jest pierwszy punkt zarzutów, ale jeszcze za słaby, aby uczynić z niego winę. Irena się wahała, długo się wahała, Soames szalał z miłości, wreszcie nastąpiła decyzja. Jak sobie jednak poczyna Irena, jako żona niekochanego męża? gorzej: czująca do niego fizyczny wstręt? Poza oficjalnemi obowiązkami żony nic z siebie nie daje. Nie wychodzi po za zimną obojętność, szorstkość i egoizm, graniczący z okrucieństwem. Nie jest nawet poprawną żoną, etyka w stosunku do męża nie odgrywa u niej żadnej roli; ona jest centrum życia, a wszystko, co jest przeciw niej, niechaj ginie. Prawda, Soames potrafił być dzikiem, brutalnem zwierzęciem, ale ona jeszcze za czasów jego najgłębszej tkliwości była złą i okrutną.

Nawet wówczas, gdy Soames, spełniwszy ofiarę wyrzeczenia, prosi o litość, nawet wówczas, gdy błaga o szczęście swej ukochanej Fleur i syna Ireny, nawet wówczas spotyka się z chłodem i nienawiścią. Irena mści się na nim za swą własną omyłkę życiową, grzebie szczęście swego syna i odchodzi „z niezmiennym, przyćmionym zawsze uśmiechem“.

Tak oto, przenosząc Irenę na grunt rzeczywistego życia, tworzymy zupełnie innego człowieka, niż Irena powieściowa. Jak genialnie jest to zbudowany typ, dowodzi to, że jedna i druga Irena świetnie pasują do swego tła. Nic nie trzeba było w jej charakterystyce zmienić, ani pominąć, tylko spojrzeć pod innym kątem widzenia.

Przytem Irena rzeczywista nie jest ani trochę mniej prawdziwa od symbolicznej. Autor nie silił się na typ nowy, nigdzie dotąd niespotykany.

Takich kobiet, jak Irena, kobiet-niszczycielek, których najwyższą łaską będzie przyzwolenie na miłość, jest bardzo wiele. Nieomal w każdej kobiecie jest cząstka Ireny, mniejsza lub większa, bo Irena, pomimo wszystko, jest „wieczystą kobiecością“. Z terminem tym niekoniecznie trzeba łączyć słodczy, uległość i... zdolności gospodarcze. Nawet niezawsze miłość, pomimo, że autor nazywa także Irenę symbolem Miłości. Trudno się na to zgodzić. Wieczystą kobiecością będzie także czasem instynkt samozachowawczy, ale dośrodkowy, który przecież nic z miłością nie ma wspólnego.

Zofja Miszewska.

STUPROCENTOWA KOBIEȚA W TODZE PROFESORSKIEJ

Zaczesaane do tyłu włosy odsłaniają kształtne ucho. Pod wąską linią starannie pielęgowanych brwi — żywe, inteligentne oczy. Zdaleka wydają się zupełnie ciemne, zbliiska okazują się głębokiej niebieskiej barwy. Piękne, lśniące zęby wykwitają w świeżym, pełnym wdzięku, uśmiechu. Ręka — bardzo kobieca i bardzo sprężysta zarazem. Sylwetka młoda, smukła, nosi piętno wielkiej dbałości o wygląd zewnętrzny, „cachet“ dobrego smaku i starannego przemyslenia szczegółów, które decydują o elegancji.

Portret artystki, gwiazdy kinowej? Nie — to migawkowe zdjęcie... profesora Uniwersytetu. Charlotta Bühler — to kobieta par excellence współczesna. Niezmiernie przekonujący wykładnik czasu; skończyła się, coprawda, epoka, w której przodowniczki wiedzy ze świadomą pogardą i z poczuciem wyższości rezygnowały z przysługujących im praw do kobiecości. Dziś kobiecość nie abdykuje sama, lecz zabija ją brak czasu, spycha ją na dno mimowolna hierarchja spraw, które szczerze absorbują, które stają się celem ekskluzywnym, absolutnym, nietolerancyjnym. Kobiety, które wnoszą rzeczywiste walory pod zrąb budującej się wiedzy, tak już są tem pochłonięte, że poprostu nie mają czasu na nic innego.

A ona — profesor Charlotta Bühler — w przedziwnie harmonijny sposób potrafi połączyć i uzgodnić tak sprzeczne wymagania, jakie stawia służba nauce z głosem jej naturalnego wyposażenia. I zadziwia nie tylko wielostronność jej zainteresowań, ale wysoki stopień ich nasycenia; każda z jej umiejętności jest reprezentowana w sposób wybitny. Dłoń jej, pewnie i po męsku władająca piórem, silna dłoń towarzyski pracy (jaką jest wobec męża) — potrafi spo-

kojnie i śmiało panować nad kierownicą samochodu, potrafi ze smakiem przebierać w szeleście jedwabnych fatalaszków; ta sama dłoń umie też z czułością i pieśczołą gładzić główkę swego dziecka.

— Meine Tochter mit ihrem Hunde — pokazuje, pełna dumy macierzyńskiej, fotografię zgrabnego podlotka, fotografię, z którą, zdaje się, nigdy się nie rozłącza.

Okres kielkującego macierzyństwa — okres najcięższy w życiu kobiety — poświęciła Charlotta Bühler... na pisanie pracy doktorskiej. Gdy drugie dziecko miało przyjść na świat — zasiadła do opracowywania swej podstawowej pracy: „Kindheit und Jugend“.

Szczęśliwe dzieci! Kolebka ich stała w domu, w którym oboje rodzice poświęcili wszystkłą swą wiedzę na zgłębienie duszy ludzkiej, na zbadanie sekretnych sprężyn, na wyłowienie klucza do ich dziecięcej podświadomości.

Wraz z mężem, profesorem Karolem Bühlerem (którego była słuchaczką), pracuje pani Charlotta w Instytucie Psychologicznym przy Uniwersytecie Wiedeńskim, gdzie notowane są i protokołowane wszystkie przebiegi życia ludzkiego, chwila za chwilą, od momentu narodzin. Dwadzieścia cztery godziny z życia niemowlęcia mogą stanowić teren ciekawych obserwacji, gdy każdy przejaw życia znajduje swój wyraz w odpowiedniej notatce.

Ale nie o tem mam zamiar pisać na tem miejscu. Tutaj — kilkoma słowami chciałam skreślić impresję, podzielić się wrażeniem ze spotkania czarującego zjawiska: kobiety, która *na wszystko ma czas*.

Z. M.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

„Przeprowadzka“ — sztuka w 4-ech aktach K. H. Rostworowskiego. Reżyserja Ludwika Solskiego. Dekoracje W. Drabika.

„Niespodzianka“ Rostworowskiego była czystym dramatem, bez ideologicznych domieszek. Jeśli nawet rozstrzygnięto w niej pewien problemat moralny, to nie naruszał on w niczem monumentalnej, doryckiej, wstrząsającej prostoty faktu, który był jedynym motywem jej powstania.

Inaczej w „Przeprowadzce“, która jest dalszym ciągiem i niejako ideologicznym uzupełnieniem „Niespodzianki“. W „Niespodziance“ tragiczna omyłka wywołuje doraźność kary moralnej za zbrodnię, zanim sprawiedliwość ludzka zdąży ją wymierzyć na drodze zwykłego postępowania sądowego. W „Przeprowadzce“ męką moralną odpokutować ma za winę ojców mimowolny jej sprawca — syn Franek.

Przybywa nowe ogniwo do łańcucha niedoli. Podobnie jak Franek stał się bezpośrednią przyczyną zbrodni rodzicielskiej, tak teraz siostra jego, Zosia, bierne i bezwolne stworzenie, staje się źródłem wszystkich jego trosk, udręczeń i pokus — osiłą dramatu.

Różnica między moralną postawą Franka, a jego rodziców, polega na odmiennem ustosunkowaniu się ich do pokusy. Tamci ulegają jej impulsywnie, żywiołowo, Franek z nią walczy. Walczy rozpaczliwie, histerycznie, ten proletarjacki Hamlet, częściowo jej nawet ulega, przeżywa swą urojoną hańbę z całą mocą samoudręczenia, zstępuje świadomie aż na dno tego piekła, jakim jest spodłona przez nędzę dusza ludzka, wreszcie szuka wyzwolenia w samobójstwie.



Prof. Charlotta Bühler.

Do życia i fizycznego i moralnego przywraca go przypadkowy przyjaciel, uosobienie zdrowych, nieskażonych instynktów ludu. Taką przynajmniej była intencja autora. Widz doświadcza nieco odmiennego wrażenia. Poprostu ów nieudalony zamach samobójczy działa na Franka odradzająco. Jakby przez zadanie sobie śmierci zrzucił ciężar na nim w jego świadomości odpowiedzialność za „tamtą“ śmierć, za zbrodnię rodziców.

Freud nazwałby to rozwiązaniem kompleksu. Rostworowski nadaje temu faktowi znaczenie przede wszystkim moralne. I tu może, w tym zgóry powziętym stanowisku do przedstawianych postaci, tkwi zasadniczy błąd sztuki. Moralizowanie kurczy zawsze horyzont dramatu do rozmiarów ciasnej doktryny. A doktryna — to miecz obosieczny. Budzi ona bowiem w widzu chęć doszukiwania się w sztuce ukrytego sensu moralnego i pokusę dokonania gruntownej jego rewizji.

I do czegoż nas ta rewizja doprowadza? Do bardzo oryginalnych wniosków, które ze względu na swój obskurantyzm trudno jest zapisać na dobro autora, ale którymi mamy prawo obciążyć jego odpowiedzialność moralną i społeczną. Wniosek ten brzmi: idealnym proletariuszem jest ten, który nie ma żadnych aspiracji. Franek ma aspiracje i do czego to doprowadziło? Jego rodziców — do zbrodni, a jego samego — do moralnego załamania się.

Franek, choćby skończył swoją „filozofiją“, będzie zawsze wykołajeńcem życiowym, pociągami, pędzącym bez szyn ku niewiadomemu celowi. Tymczasem jego antyteza, Felek, kroczy pewnym krokiem po mocnym nasypie. Czy tylko dlatego, że jest wierzącym? Przede wszystkim dlatego, że jest zdrowym, prostolinijnym dzieckiem instynktu. Ma plecy, jak byk; dźwiganie cegieł — to dla niego zabawka, dla Franka — katorga. Sens moralny: proletariusz powinien być fizycznie silny i dźwigać cegły; wykształcenie i tak mu nie da szczęścia.

Czy taki był istotnie zamiar autora? Niewątpliwie — nie. Ale obosiecznym mieczem doktryny machnął za mocno i podciął kwiat własnych marzeń: nieomylnie „czystego“ ludu.

A teraz odłóżmy na bok ideologię. Wszystko, co jest poza nią, cała realistyczna strona dramatu sięga wyżyn mistrzostwa. Powiadają, że Rostworowski nie zna proletariatu miejskiego, że stosunki, przez niego przedstawione, są fikcją. Cóż z tego, skoro ta fikcja tak mocno przemawia do nas, że w nią wierzymy bez zastrzeżeń? Daltonizm Rostworowskiego jest w swym artyzmie bardziej przekonujący od „szkiełka i oka“ wielu rzekomych mędrców, którym się zdaje, że to oni zgłębili duszę proletariatu.

W „Przeprowadzce“ niema ani jednej postaci papierowej, wszystkie żyją, każda ma swoją aż za bardzo wyrazistą twarz. Zadanie aktorów było i wdzięczne, i łatwe, i nie potrzebowali szukać poomacku i uzupełniać psychologicznych luk. Każdy wlał w gotową formę najszlachetniejszy metal swego talentu i temperamentu. Dzięki temu, zarówno sceny jaskrawo naturalistyczne, godne pendzla Goyi, jak i przyciszone, uczuciowe rozgrywki wyszły bez zarzutu.

Tym dyskretnym, a jednak tak bardzo niepokojącym tonem górował Justjan w roli Starszego Pana. Hnydziński, jako barczysty Felek, czuł się w swoim żywiole. Solarski, jako historyczny Atlas, dźwigający brzemień rodzicielskiej zbrodni i własnych urojonych win, wydobywał najostrożniejszy ton wewnętrznego napięcia. Ankwiczówna w bierne zaleknienie Zośki wniosła dużo wdzięku. Zresztą wszyscy artyści grali tak, że zapomniało się o scenie, przeżywało się razem z nimi.

Reżyserja Solskiego zrobiła swoje. Był to jeden z największych triumfów Teatru Narodowego w ostatnich czasach.
S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

W SPRAWIE REGULACJI URODZEŃ.

W sali Tow. Higienicznego odbył się, zorganizowany staraniem Tow. Służby Społecznej, odczyt w sprawie regulacji urodzeń. Liczni mówcy, między innymi p. Irena Solska, Janina Strzelecka, Boy-Zeleński, dr. Kłuszyński, zabierali głos, zaznaczając konieczność utworzenia poradni dla matek, na wzór istniejących już w różnych krajach europejskich. Mówcy zaznaczali, że w krajach, wykazujących największą ilość urodzeń, panuje też *największa śmiertelność dzieci*.

Pierwsza poradnia powstać ma podobno w Warszawie, staraniem jednego ze związków zawodowych.

FRANCJA I POLSKA KU CZCI JOANNY D'ARC.

Przypadającą w tym roku pięćsetną rocznicę stracenia Joanny D'Arc obchodzono w całej Francji z wielką uroczystością, pomimo że obchody ku czci świętej bohaterki trwają już od roku. Wszędzie posągi Joanny d'Arc obsypywane są kwiatami, a olbrzymie pochody przeciągają ulicami miast. Polska uczęciła również tę rocznicę. W sali Rady miejskiej odbyła się, zorganizowana staraniem uniwersytetu warszawskiego, akademja, na którą przybyli przedstawiciele duchowieństwa, korpusów dyplomatycznych, rządu, uniwersytetu, kolonji francuskiej i stowarzyszeń polskich. Akademję wypełniły przemówienia ambasadora Laroche, prof. Champion, bjoografa bohaterki, przybyłego do Polski na zaproszenie Uniwersytetu, oraz prof. Haleckiego. Ponadto w ciągu maja odbywają się w Uniwersytecie warszawskim wykłady historyków francuskich o Joannie d'Arc.



Teatr Mały: „Droga do piekła“. Janina Romanówna i Henryk Małkowski.



Ćwiczenie przed otwarciem sezonu.

Z WIOSNĄ NA WISŁĘ!

Otwarcie sezonu wioślarskiego w stolicy odbyło się w tym roku niezwykle uroczyście. We wszystkich klubach podniesiono bandery wioślarskie, przedtem odprawione zostało w kościele Karmelitów nabożeństwo, z udziałem wioślarzy i wioślarek ze sztandarami.

ŻADNYCH USTĘPSTW W OCHRONIE PRACY KOBIECI.

Na gorącą batalję zanosi się podczas tegorocznej Konferencji pracy w Genewie.

Pomimo gwałtownej opozycji przedstawicieli niektórych zrzeszeń robotniczych i niektórych państw, wniesiona zostanie na konferencję sprawa rewizji dwóch punktów Międzynarodowej Konwencji z r. 1919 o ochronie pracy kobiet.

Rewizja ta ma dotyczyć: 1) wyeliminowania z konwencji zakazu pracy nocnej dla kobiet, zajmujących stanowiska *kierowniczek i dozorczyń pracy*, oraz pozwolenia tym państwom, które uznają to za konieczne, przesunięcia godzin, obejmujących zakaz pracy nocnej, np. zamiast od 10-ej wiecz. do 5-ej rano na czas od 11-ej do 6-ej.

W chwili, gdy Rada Otwartych drzwi pragnie zniesienia całej ochrony pracy kobiet wogóle, zdawałoby się, że te bardzo drobne zmiany nie powinnyby wywołać zbytniego oburzenia. Kobiety, zajmujące stanowiska *kierownicze*, mają przeważnie takie warunki bytu, że mogą pracować w nocy, o ile tego chcą; co zaś do przesunięcia godzin, to godzina opóźnienia wieczorem zostaje wyrównana późniejszą godziną ranną. Czy kobiecie nie będzie nie raz o wiele wygodniej skończyć pracę nawet o 11-ej, ale zato zaczynać ją o 6-ej, nie o 5-ej rano, kiedy nie funkcjonują przeważnie żadne środki lokomocji do fabryki?

Przeciwnicy tych drobnych zmian w konwencji nie biorą pod uwagę, że konferencja pracy decydować będzie nie dla jednego tylko kraju (najgoręcej przeciw zmianom protestują wszystkie syndykaty robotnicze kobiece francuskie!), lecz dla ogółu państw, które do konwencji przystąpiły, a które mają biegunowo

różne warunki lokalne. Właśnie dlatego, aby każdy kraj mógł poruszać się swobodnie w granicach swych specjalnych potrzeb, zmiany te są projektowane.

Zwolennicy tych bezwzględnych zakazów pracy nocnej kobiet zapomnieli też widocznie, że obok pracy nocnej kobiet, istnieje praca nocna dzieci i młodocianych, której warunki są dotychczas daleko gorsze, niż dla kobiet. Nie wolno wprawdzie zatrudniać młodocianych pracą nocną w fabrykach, ale niema dotychczas zakazu tej pracy w handlu, przedsiębiorstwach widowiskowych, hotelach i t. p. i t. p. A jest to sprawa przynajmniej równie ważna.

Wobec tych nastrojów, można przepowiedzieć, że pragnienia Open Door, zupełnej swobody pracy dla kobiet, nie prędko się ziszcą!

ZGON NESTORKI LEKAREK ANGIELSKICH.

Zmarła dr. Henryka Clisby, której setną rocznicę urodzin obchodzono w zeszłym roku uroczyście w całej Anglii. Dr. Clisby była dołownie najpierwszą lekarką wśród kobiet anglosaskich. Dopiero na kilka lat przed śmiercią wycofała się z praktyki, którą uprawiała od dłuższego czasu bezpłatnie, lecząc rzesze biednych. Oprócz pracy zawodowej, zmarła była też gorliwą rzeczniczką i pracownicą w ruchu feministycznym.

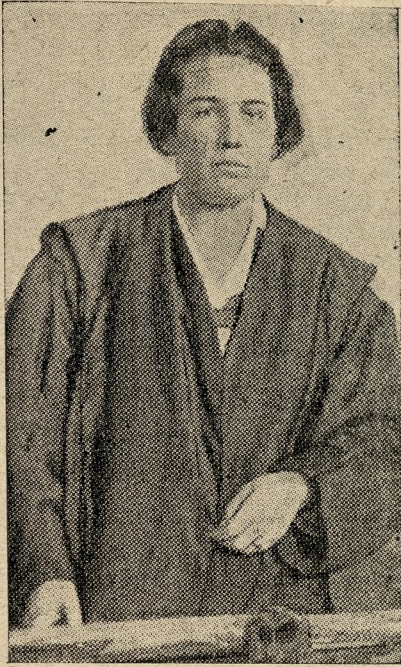
NASZE LEKKOATLETKI.

Święto wiosny jest we Florencji świętem sportowem: tenis, szermierka, lekka atletyka, łucznictwo, stare i nowe sporty iść będą w zawody na tle starych murów miasta i krajobrazu włoskiej przyrody.

Młody sport kobiecy polski nie pozostaje w tyle, przeciwnie: przy każdej okazji pragnie zaznaczyć się i odznaczyć na terenie zawodów międzynarodowych. Nasze lekkoatletki uprawiają też pracowicie ćwiczenia do biegów florenckich. Jedną z nich, p. Manteufflówna, ma nawet duże szanse zyskania rekordu światowego w skoku wżwyż.



W biegu.



Wiktorja Kent.

REPUBLIKANIE STRONNIKAMI KOBIET.

Gdy przedostatnia rewolucja w Hiszpanji zakończyła się przegraną, rozpoczął się wówczas wielki proces polityczny przywódców, których główny wódz, major Franco, uciekł zagranicę, pozostało jednak wielu innych. Obrony ich podjęła się wtedy... kobieta, znana adwokatka madrycka, panna Wiktorja Kent.

Ta młoda, trzydziestoparoletnia prawniczka wygłosiła wtenczas świetną mowę obrończą, komentowaną przez całą prasę hiszpańską. Zajęcia zawodowe nie przeszkadzały panie Kent w prowadzeniu gorącej agitacji politycznej na rzecz partji radykalnej, której była członkiem. W czasie ostatnich wyborów, poprzedzających bezpośrednio zwycięstwo rewolucji, młoda adwokatka była niezmordowana. Objężdżała całą prowincję, wygłaszając wszędzie przemówienia, w których obok ogólnych wtycznych linii polityki, podkreślała stale ważność udziału kobiet w życiu społecznym i politycznym. Zwycięskie stronnictwo republikańskie powierzyło pani Kent wysokie stanowisko: minister sprawiedliwości mianował ją szefem więziennictwa hiszpańskiego.

Posunięcie to znamionuje zasadniczą zmianę nastroju polityków republikańskiej Hiszpanji w stosunku do kobiet, dotychczas bowiem hiszpanki, biorące wydatny udział w życiu kulturalnym i gospodarczym kraju, nie miały praw politycznych i nie były dopuszczone do żadnych wyższych stanowisk państwowych.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Francja ma więc już nowego Prezydenta.

Wybór Pawła Doumera nie zrobił wielkiej niespodzianki, gdyż prezes senatu francuskiego był jednak poważnym kandydatem. Wielokrotnie zaś zdarzało się tak, że do Pałacu Elizejskiego wchodził człowiek wogóle nieprzewidywany, wpływający w ostatniej chwili, jako rezultat kompromisu partyjnego, lub wogóle „ten trzeci“, gdy ani pierwszego, ani drugiego przeprowadzić nie było sposobu.

Obecnie były właściwie tylko dwie kandydatury: Doumer i Briand. O wielkiego Arystydesa można było wogóle się nie kłopotać: francuzi nie lubią silnych ludzi na fotelu Prezydenta, to jest zasada niewzruszona, może zresztą i praktyczna. Do upadku Brianda przyczyniła się prócz tego niejednoznaczność stronnictw lewicy. Socjaliści najradykalniejsi, cóż ukrywać, sprzyjają i sprawie Anschlussu i porozumieniu z Niemcami: są to przecież ideały trzeciej międzynarodówki. Briand stanął więc w stosunku do nich w trudnej sytuacji: Anschluss potępił, potępić go musiał, pomimo tyloletniej pracy w sprawie porozumienia i pokoju. Socjaliści mniej radykalnych odcieni nie mogli stanowić bezwzględnej większości, prawica zaś głosowała za Doumerem, który zresztą posiada ogólny szacunek i sympatję wszystkich stronnictw, za wyjątkiem komunizującej międzynarodówki.

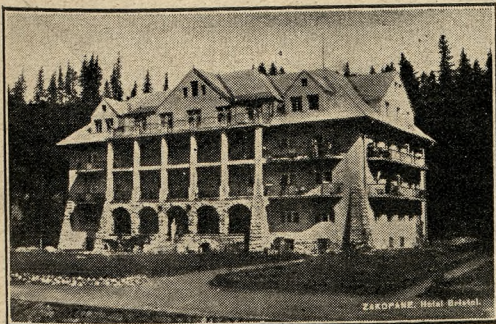
Nowy prezydent Francji to człowiek kryształowej uczciwości, wzór pracowitego, sumiennego spełniania obowiązków obywatelskich, więcej: ojciec trzech synów, poległych w bitwach wielkiej wojny i czwartego, zmarłego z ran i trudów, w tej wojnie odniesionych.

Wobec tego, aż dziwić się trzeba, że francuzi nazywali dawnego prezesa senatu „wzorem cnót drobnomieszczańskich“. Oddać całą nadzieję życia na ofiarę krajowej potrzebie, a potem samemu dalej i ciągle służyć ojczyźnie, to nazwałoby można raczej bohaterstwem.

Czy wybór Doumera pociągnie za sobą zasadnicze zmiany w polityce francuskiej? Trudno przewidzieć. Pociągnie je raczej zapowiedziana już rezygnacja Brianda ze stanowiska ministra spraw zagranicznych. Dla polityki Brianda niespodzianka Anschlussu była fatalnym ciosem; wielki polityk zrozumiał zapewne, że idea jego życia nie nadaje się w tej chwili do szybkiego i realnego dokonania, wobec tego odchodzi ze swego stanowiska.

W Niemczech wybór Doumera wywołał prawdziwą konsternację; dla tego już choćby tylko wywołać musi w Polsce żywe zadowolenie.

Nie najmniejszą sensacją ubiegłego tygodnia była też kontrewolucja, czy nowa rewolucja w Hiszpanji. Właściwie było i jedno i drugie. Monarchiści pragnęli poderwać podstawy młodej republiki z jednej strony, komuniści z drugiej. Przyszło do scen krwawych, a choć rząd obecny stłumił rozruchy, sytuacja nie jest zbyt pewna.



ZAKOPANE

Perła uzdrowisk polskich—daje emocjonujące widoki Tatr, tężyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

BRISTOL

Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel-pensjonat w Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę. W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30—50%. Tel. 315

700

NASZA MÓWNIKA

Skąd wziąć fundusze (w odpowiedzi p. T. Fidusowej).

Temat, poruszony przez Panią, żywo interesował różnych ludzi na gruncie lwowskim już od bardzo dawna.

Obmyślili oni, jeszcze przed laty, sposoby i środki, aby umożliwić postawienie szkolnictwa elementarnego na odpowiednim poziomie, rozwiązując problem budżetu, bez większego obciążenia ludności, bez stosowania podatków bezpośrednich.

Podatek szkolny, po 1 zł. od każdego dziecka, do chwili dojścia do pełnoletności, tudzież podatek od osób bezdzietnych, na rzecz nauczania, dałby Polsce rocznie miliony, nie obciążając zbytnio nawet najbiedniejszych. Zresztą możnaby zaprowadzić zwolnienie całkiem biednych od płacenia tego podatku, a zastosowanie progresji dla majątniejszych.

Wpływy z tych źródeł umożliwiłyby przejście szkolnictwa elementarnego w zupełności na Skarb Państwa i uniezależniły je tem samem od samorządów gminnych. Te ostatnie bowiem nie zawsze, niestety, okazują należyte zrozumienie dla spraw oświatowych, a często nie mogą podolać finansowo obowiązkom wobec szkoły, wynikającym z obecnego systemu.

„Związek Aryjski“ we Lwowie ogłaszał swoje prace częściowo w prasie, częściowo w broszurach, a także podawał do wiadomości osobom wpływowym, w drodze prywatnych korespondencji.

Myśli te jednak nie przyjęły się w Warszawie w sferach miarodajnych. Widocznie nie był jeszcze czas po temu. Pocięchą niech nam będzie jednak pewność, że z czasem koncepcje nasze zostaną przyjęte w tej lub innej formie. E. R. — *Nadmórna*.

Co robimy.

Zobaczyć zagłębie naftowe, ten ośrodek przemysłu jednego z największych w kraju, kusi się wielu kuracjuszy z pobliskiego Truskawca, jak również rozliczne wycieczki krajowe i zagraniczne.

Miejscowość ciekawa, położona na Podkarpaciu w obramowaniu wielkich lasów. Licznie rozsiane szyby kopalń nafty, gazoliniarnie, tłocznie i elektrownie, wspaniale oświetlone, potężne robią wrażenie na widzu, szczególnie o zapadającym zmroku, lub nocą.

Mieszkania pracowników, porozrzucane na ogromnych przestrzeniach. Powstawały one dorywczo, skupiając się w bliskości warsztatów pracy. Wielkie odległości dzielą pracujących tu ludzi. Często spotkać się można z pytaniem osób, bawiących tu chwilowo, jak się tu żyje w tej dziwnej miejscowości? Żyje się, bo żyć się musi, a czasem nawet chce.

Mężczyźni są wprost pochłonięci pracą. Jej wir i tempo mają w sobie coś z nalogu, tak, że człowiek, który raz wpręgnie się w przemysł naftowy, tkwi w nim całe życie. Nawet porzuciwszy, wraca po latach.

A kobiety? Mam na myśli narazie żony i córki ludzi pracujących w przemyśle, lub nauczycielki i urzędniczki.

Życie towarzyskie słabo tu mamy rozwinięte, praca społeczna jednak idzie. Pracują dzielnie T. S. L., Tow. Ochronki im. Św. Barbary, Narodowa Org. Kobiet i Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet. Wszystkie wyżej wymienione towarzystwa skupiają wokół siebie znaczne grupy kobiet, pracujących z zapałem. Niektóre z nich wprost cudów dokazują swym wytrwałym i niezmordowanym trudem.

Znając tutejsze stosunki i ogólnie panującą stagnację w przemyśle naftowym, podnieść trzeba ochronki, kolonie wakacyjne, przedszkola i warsztaty pracy kobiecej, stworzone przez kobiety.

Dziś pragnę donieść o nowo powstałej placówce.

Za inicjatywą p. Idy Dawidowiczowej, zawiązało się, na

wzór warszawskiego Koła, Tow. Pań Domu. Do nowopowstałego towarzystwa przystąpiła znaczna ilość pań i praca rozpoczęła się odrazu. Zebrania nasze wypełniają ciekawe i praktyczne pogadanki na tematy aktualne w gospodarstwie domowym, jak organizacja pracy, sekrety i przepisy kucharskie i budżet domowy. Omawialiśmy budżety ludzi, rozporządzających większymi sumami (ponad tysiąc zł. miesięcznie), ale były też brane pod uwagę budżetki skromne, obracające się w zakresie 200 — 300 zł. miesięcznie. Trudne bowiem ma zadanie ta niewiasta, która, rozporządzając małą sumą, wiąże koniec z końcem i daje sobie radę, myśląc z pogodą o potrzebach rodziny.

Każde zebranie pozostawia niezaprzeczoną korzyść w postaci wymiany myśli i wspólnej ochoty do pracy nad podniesieniem naszych ognisk domowych.

Założenie tego towarzystwa i tempo pracy zapoczątkowanej dają nam pewność, że skupione w niem kobiety, odniosą wiele korzyści. *Kazimiera Gerzabkova — Boryslaw*.

Wszystkie musimy pracować dla pokoju (w odpowiedzi p. Płońskiej).

Artykuł Pani w „Naszej Mównicy“ poruszył tę kwestję, nad którą bardzo często i bardzo poważnie się zastanawiam. Trudno mi te myśli ująć w formę literacką i ładnie wyrazić, ale sercem czuję, że wszystkie kobiety, na całym świecie nie pragną wojny. Nie, przeklinają ją po stokroć!

Wojny tworzą mężczyźni i mam wrażenie, że gdyby kobiety miały większy wpływ na politykę, to umiałyby wszystkie konflikty załatwić pokojowo.

Jednak, że już coś się dzieje w tej dziedzinie i to bardzo pomyślnego, wyczuć można z artykułu p. Paradowskiej-Szelągowskiej: „Kobiety na terenie międzynarodowym w 1930 roku“.

I jeszcze jedno: nie wpajajmy w dzieci, od maleńkiego, nienawiści do innych narodów, nie zatruwajmy ich duszy, a może... może, gdy tak je wychowamy, doczekamy się, jeżeli już nie my, to oni, że człowiek nie będzie człowiekowi wilkiem, a bratem najszczęśliwym i miłującym!... *Jana*.

Ile wydawać (w odpowiedzi P. S. Cz.).

Założyłabym się, że autorka artykułu pod wyżej wspomnianym tytułem, nie znajduje się w krytycznym położeniu materialnym, więc łatwo Jej dawać rady, które, niestety, nie zawsze można zastosować praktycznie. Długi, jeśli się je w ostateczności zaciąga, to nie na zbytki, ale na utrzymanie, na okrycie siebie i dzieci, może na ratowanie zdrowia i życia. Trzeba wejść w położenie innych, znać zycie, zbadać przyczyny zła.

Może pani domu nie chodzi tak bardzo o pięknie utrzymane rączki, może, choć nie obciążona liczną rodziną, nie ma sił, by podolać pracy w domu, może przez najmowanie posługaczki, broni się przed zniszczeniem swego zdrowia, by nie stać się ciężarem rodzinie, społeczeństwu, albo nie osierocić dzieci?

A co mają robić tacy, którzy za mieszkanie w małym mieszkaniu płacą 120 zł.? Dojazd ze wsi byłby niemożliwy, dzieci musiałyby od 5.30 rano do 5.30 wieczór być poza domem, w szkole i na ulicy. A drożyzna mało się różni od miejskiej, zwłaszcza, że po niektóre prowianty trzeba jechać do miasta.

Łudzimy się wszyscy, że kryzys minie, że przyjdzie możliwość splacenia „nieuczciwie“ zaciągniętych długów. Chcąc jednak przetrwać i zwyciężyć, musimy się w jakiś sposób bronić przed ostatecznością; pożyczając, nie myślimy o tem, by dług nie splacić, wątpię, by komuś nie zależało na nazwisku bez plamy! Słowa Pani S. Cz., to raczej ostra krytyka, niż rada, i zapewne nie będę jedyną, która daje taką odpowiedź.

Lena z Leszna.

W OBRONIE NASZYCH WNĘTRZ

W sprawie mieszkaniowej, która w ostatnich tygodniach zabiera głos na łamach „Bluszczu“, poruszono dotąd jedynie bolączkę niedoborów lokalowych z punktu widzenia wygórowanego czynszu mieszkalnego, braku wygodnych i planowych urządzeń wewnętrznych, niezbędnych współczesnemu trybowi życia i prawidłowej gospodarce domowej, oraz niedoborów terenowych, to znaczy fatalnych bruków, zaniedbania estetycznego nowych dzielnic i niewystarczającej komunikacji (tramwaje nocne).

Trzeba przyznać, że zarzutów tych wystarczy, aby stracić nieco zapału i rozpędu „kolonialnego“, bo od tych właśnie kolonij spodziewaliśmy się wszyscy nietylko uroczej swobody, która pozwala wydostać się w przeciagu kilku minut z olbrzyma blokowego w szczerze pole — i to nie w pełnym bojowym rynsztunku (elegancka tualeta spacerowa), ale w sandałach i bez kapelusza — lecz i warunków mieszkaniowych w całym tego słowa znaczeniu współczesnych, to znaczy, ułatwiających kulturalne i estetyczne, a przytem wygodne domowe bytowanie.

Ten zawód kolonialny nie kończy się jednak z chwilą rozróżniczkowania marzeń od rzeczywistości, bo w zmontowaniu życia na wzór i podobieństwo tego, co mówi się dzisiaj i pisze o nowoczesnym wnętrzu, jego wymaganiach, potrzebach i dążeniach, spotykamy na swojej drodze jeszcze jedną, nie mniej zasadniczą i trudną do zwalczenia przeszkodę, a przeszkodą tą jest dosłowny brak sprzętów, przystosowanych zarówno do rozmiarów, jak i do charakteru nowoczesnego wnętrza.

Wobec kwestji mieszkaniowej w całej zobrazowanej rozciągłości, jednostki są bezsilne, nie mogą bowiem ani decydować, ani przyspieszyć regulacji terenów, zakładania zieleńców na pokrytych gruzami i śmieciami wolnych terenach, które przeznaczono pod plantacje miejskie; nie są w stanie wglądać w projekty, opracowywane przez architektów, ani w finansy poszczególnych spółdzielni mieszkaniowych, które to finansy paraliżują wykończenie poszczególnych gmachów, skazując mieszkańców na godzenie się z brakami przez długie nieraz lata. Jednak solidarne żądanie od przemysłu meblarskiego i prywatnych rzemieślników zasilenia rynku handlowego meblami, dostosowanymi do potrzeb chwili, uwzględniającymi estetykę, wygodę, prostotę, zarówno jak i ograniczone w danej chwili zdolności płatnicze klientów — leży właśnie w kompetencji jednostek.

Trudno zrozumieć brak inicjatywy sfer miarodajnych i brak zrozumienia własnego interesu. Bo kto w ostatnich latach spróbował u nas pokusić się o urządzenie swego wnętrza podług omawianych na piśmie i bogato ilustrowanych wzorów współczesnych, ten wie najlepiej, że jest to — marzenie ściętej głowy.

Wędrowna po zakładach meblarskich i stolar-

skich rozpoczyna się pod znakiem równie żywiołowego entuzjazmu, jak poszukiwanie nowoczesnego mieszkania. I równie prędko, może nawet znacznie prędzej opalają się skrzydła, rozwinięte do zwycięskiego lotu, a słoneczne, miniaturowe pokoiki kolonialnego lokalu zapelniają się szablonową tandetą, lub niedobitkami, ocalałymi z burzliwej wojennej przeszłości.

Konserwatyzm jest tutaj tak silnie zakorzeniony, że nawet tapczan — ten wyraz nowoczesnych potrzeb, który wstępnym bojem zdobył opinię publiczną i dotarł do wszystkich nieomal wnętrz powojennych — nie zdołał rozbudzić w wytwórcach wiary w powodzenie nowego kierunku.

Potrzebne nam są dzisiaj nie powtarzające się dziesiątki lat modele dębowych bristolek, których wnętrza nie są w stanie pomieścić bielizny stołowej i pościelowej, obliczonej na niewielką rodzinę; nie ziejące nudą stoliki nocne, tualetki i biureczka o typie pensjonatowo-hotelowym; nie salonowe garniturki, złożone z sakramentalnych sześciu krzesełek i dwóch fotelików, otaczających okrągły, czy owalny stolik — lecz meble, wzorowane na projektach, opracowywanych przez artystów, którzy umieją się wczuć w potrzeby ludzi, rozporządzających szczupłymi środkami, a nieskłonnych pomimo to do przekreślenia potrzeb estetycznych. A tego typu mebli nie spotyka się u nas na rynku meblarskim, chociaż seryjnemu wykonywaniu modeli poszczególnych sprzętów i całych garniturów nic realnego nie stoi na przeszkodzie — chyba brak zainteresowania klientów, która umie tylko wyrzekać, a nie umie żądać, albo brak ruchliwości i inicjatywy ze strony wytwórców.

Jedynym wyrazem dążenia do ożywienia szablonu są widywane coraz częściej jaskrawe stoliki, taborety, półki, które mają jakoby wnieść w nasze wnętrza powiew nowości, tworząc osławioną *barrona plamę* na tle pokoju mieszkalnego.

Wykonane w firmach pierwszorzędnych, wplecione pomiędzy stylowe garnitury o faktycznej artystycznej wartości (jak to widzimy np. w oknach wystawowych firmy Szczerbiński), robią wrażenie groteskowe i muszą zniechęcać, zamiast zdobywać sobie poklask, chociaż nie brak im ani estetycznej linii, ani praktycznego zastosowania, ani też precyzyjnego wykonania. To, co dałoby się zapisać na ich dobro, trzeba, niestety, przekreślić w chwili, kiedy zapoznamy się z ceną, bo ta nie odpowiada bynajmniej ideałowi mebla współczesnego, który powinien i musi być ładny, pożyteczny i niedrogi.

Natomiast składy mebli, mieszczące się na bocznych ulicach Warszawy, w których można też spotkać niekiedy taki wyraz dążeń współczesnych, nie widzą potrzeby nadania mu charakteru swoistego. Powłoka jaskrawego lakieru — oto rodzaj glejtu, który usiłuje być wystarczającym.

A tymczasem mamy do rozporządzenia, przy niewielkim odruchu dobrej woli i zainteresowania,

prześliczne kombinacje, jakie powstają na tle zwyczajnego drzewa sosnowego, barwionego bejcą i politurowanego. Można meblom takim nadawać dowolne kształty, wzorowane na modelach, opracowanych przez zdolnych rysowników; a nawet, kombinowane na podstawie własnych pomysłów, można je barwić na przeróżne kolory — od nikłych pastelowych do jaskrawych, tworząc w ten sposób wesołe, ładne i ciekawe w efekcie wnętrza nowoczesne.

Grono ludzi, umięających odczuć potrzebę stworzenia placówki wytwórczej, która odpowiadałaby omawianym tutaj wymaganiom i dążeniom, pokusiło się o zapoczątkowanie nowej ery meblarstwa polskiego. Modele tej wytwórni, oparte na czysto artystycznych wzorach, wykonane z drzewa sosnowego, śliczne w linii, odznaczające się prostotą i wysoce praktycznym zastosowaniem, powinny były zdobyć sobie szczerze zainteresowanie kulturalnych warstw naszego społeczeństwa, tem więcej, że ceny nawet w dzisiejszych ciężkich czasach okazały się w całym tego słowa znaczeniu przystępne.

Z radością podkreśliłabym tutaj działalność tej jedynej na terenie Warszawy placówki wytwórczej, gdyby nie fakt, że po paroletnich usiłowaniach ugruntowania swej działalności na stałych i pewnych podstawach, rezygnuje z nadziei rozwoju, a dni jej żywota są policzone.

Czemu to przypisać? Doprawdy odgadnąć trudno. Bo jeżeli ciągle wyrzekamy na brak jakiegokolwiek inicjatywy w tym kierunku, a dla znalezienia nowoczesnie pomyślanej półki-szafy, stolika ze skrytkami, wygodnego i estetycznego biurka, czy żardiniery, trzeba przemierzyć wzdłuż i wszerz pól Warszawy i to bez skutku — równocześnie zaś nie jesteśmy w stanie poprzeć i podtrzymać jednego warsztatu pracy twórczej i wytwórczej w tym właśnie kierunku — to doprawdy trudno zdobyć się na logiczną odpowiedź. Chyba, że wszystkie nasze dążenia i potrzeby, tak często i głośno wypowiedane, podciągnąć trzeba pod rubrykę potrzeb czysto platonicznych, które nie szukają zaspokojenia i ujęcia. *Wanda Dobrzańska.*



Umiejętna oszczędność.

W obecnych czasach może więcej niż kiedykolwiek musi każda gospodyni w wydatkach swoich ograniczyć budżet do minimum, bez uszczerbku jednak dla gospodarstwa, które na tem ucierpieć nie powinno. Zastosowanie do prania domowego płatków mydlanych *Lux* daje możliwość, bez naruszenia budżetu i nakładu pracy, osiągnięcia jaknajlepszych wyników. I faktycznie — w łagodnej i obfitej pianie *Luxu* pierze się prędko i oszczędnie sukienki kretonowe, batystowe, kolorowe hafty i inne delikatne materiały. Poza tem *Lux* nie niszczy rąk gospodyni i zapobiega pękaniu skóry, gdyż jest najczystsze mydło.

Uwaga: Lux sprzedaje się tylko w oryginalnych paczkach, nigdy luzem.

JAK NALEŻY ZBIERAĆ GRZYBY

W Polsce rozpowszechniony jest do dzisiaj zwyczaj przycinania grzybów przy ziemi. Wierzy się bowiem naiwnie, że z pozostawionego w ziemi „korzenia“ nowy grzyb wyrośnie.

W średniowieczu Polski znany był i używany powszechnie żart taki: gdy ktoś chciał kogoś ośmieszyć, naigrawając się z jego naiwności, mawiał mu: „Kup sobie grzybowego nasienia!“ — Znaczyło to tyle, co: jesteś tak naiwnym ignorantem, że gotówes uwierzyć, lub nawet wierzysz, iż grzyby mają nasienia i że je, jak ziarno zbóż, lub innych roślin, w handlu gotowe nabyć można.

Od tego czasu postąpiliśmy w grzyboznawstwie bardzo mało! Niektóre warstwy ludności naszej wciąż jeszcze trwają w zabobonie, że grzyby nasienia nie mają, że rozmnażają się z „zarodków“, za które uważa się trzonki grzybowych owocników, nazywając je „korzeniami“ grzyba, wreszcie młode, tuż obok starszych owocników ukazujące się grzybki, w których widzi się „zarodki właściwe“.

Gdybyż jeszcze chciano nazywać „korzeniami“, raczej może „korzonkami“, widoczne u spodu trzonu każdego grzyba niteczki grzybni! Ale nie! Korzeniem grzyba mianuje się bez najmniejszego logicznego uzasadnienia integralną część owocu grzyba, ani do korzenia podobną, ani nawet nie tkwiącą w ziemi.

Mówiąc o owocu grzyba, winniśmy dla jaśniejszego zrozumienia rzeczy przeprowadzić analogję między nim, a jakimś przeciętnym, lecz wyrazistym owocem rośliny zielonej. Weźmy więc, na przykład, jabłko. Tworzy się ono bardzo daleko od korzeni macierzystej jabłoni, bo na szypułkach, wyrosłych na samych niemal końcach najcieńszych gałązek drzewa, a tworzy się z widocznego, „jawnego“ kwiatu; stąd rośliny, w ten sposób wytwarzające owoce, nazwała nauka „jawnokwiatowemi“; rośliny zaś zielone niekwitające, jak n. p. mech, paproć, skrzyp i t. d., nazwano „skrytokwiatowemi“; wreszcie grzyby zaliczono do roślin bezzieleniowych, bezpędowych, bezkwiatowych, bezkorzeniowych, to znaczy, że są to „rośliny“, niemające jednak żadnej z cech, właściwych roślinie.

Aby to lepiej zrozumieć, powiemy za nauką nowoczesną: grzyb jest to istota dziwaczna, która o tyle tylko jest rośliną, że nie posiada cech rozmnażania się, właściwych światu zwierzęcemu; poza tem jednak nie ma ani jednej cechy rośliny, wykazując zupełny brak ciałek zieleni, cellulozy, skrobi, białka roślinnego; posiada natomiast niemal wszystkie cechy budowy chemicznej zwierząt niższych, jak n. p. błonkę komórkową chitynową (jak u owadów), białko zbliżone do białka jaj ptasich (albuminoidy), wreszcie niektóre chemiczne cechy zwierząt wyższych, a nawet i najwyższych, jak n. p.: sarkinę, glikogen, mocznik, alko-

hol cetylowy, a wreszcie i cerebrozyd, nieodłączny składnik mózgu kręgowców a zwłaszcza człowieka.

Pod względem kształtowania swej postaci przypomina grzyb właściwy, zwany grzybnią, raczej sieć nerwów w ciele zwierzęcia kręgowego, niż korzeń rośliny; do sieci nerwów zwierzęcych podobna jest grzybnia tem bardziej, że — jak i nerwy — niezmiernie jest czuła na wszelkie wpływy zewnętrzne, a nawet na światło i chłód, skutkiem czego właśnie grzybnia chowa się zawsze w głąb ziemi (u grzybów pasożytniczych w głąb ciała swej ofiary), rozpościerając się we wszelkich kierunkach do ostatnich możliwie granic; grzyby zatem, pasożytujące n. p. w drzewach (nie „na drzewach“, bo to, co „na“ drzewie, to tylko owoc grzyba!), rozrastają się w niem tak długo i szeroko, aż obejmą całą ofiarę od korzeni do szczytów korony i doszczętnie ją wykorzystują.

Grzyb ziemny natomiast rozpościera się nieograniczenie. W kilku wypadkach stwierdzono (n. p. u pieczarki polnej) przy cierpliwym, a ostrożnym rozchylaniu i podbieraniu ziemi, że grzybnia, występująca jako jednolita sieć, której nitki, idąc coraz głębiej i szerzej i rozrastając się w miarę postępu w sznurki, sznury, a nawet liny grubości ludzkiego ramienia — „czołga się“ niejako w ten sposób w masie próchnicy przez całą jej rozciągłość promienisto, nieraz na 3 do 4 mil szeroko i daleko!

W odpowiednich miejscach i warunkach grzybnia ta owocuje. Dzieje się to drogą bardzo zawiłą, w każdym razie jednak drogą stosunku wzajemnego dwu odmiennych płci, z tą jednak różnicą, że akt ten odbywa się nie przy pomocy odrębnych narządów, jak u zwierząt i roślin zielonych, lecz bez żadnych oznak zewnętrznych, wewnątrz poszczególnych komórek nitki grzybni.

A teraz wróćmy do naszego porównawczego przykładu z jabłkiem. Jest ono owocem jabłoni, która, dopóki dziecko jej jeszcze nie dojrzało, przesyła mu soki żywotne przez szypułkę. Wreszcie jabłko poczytna się rumienić, szypułka obsycha i owoc dojrzały odpada. Jabłko, zerwane zawczasie, nie dojrzewa, najczęściej wysycha lub gnije; szypułka w tym wypadku, o ile została na drzewie, żabliźnia się i nic złego matce-drzewu się nie dzieje. Ale — wyobraźmy sobie, że ktoś, wszedłszy na starą, pełną owoców jabłoni, poprzecinał każde jabłko na pół, biorąc górną część owocu do kosza, a drugą zostawiając na szypułce na drzewie. Jakież musiałyby wyniknąć następstwa takiej operacji? Oto połówki jabłek, pozostawione na drzewie, zbutwiałyby bardzo szybko pod

Łagodny
jak zawsze
niezawodny
jak zawsze
pierwszorzędny
jak zawsze

a jednak tańszy!

wplywem osiadających na nich licznie bakteryj, grzybków chorobotwórczych i t. p., które to nieszczęścia, przeniknąwszy przez żywą jeszcze szypułkę do wiązek przewodzących gałęzi, musiałyby wywołać schorzenie, a pewno i śmierć rychłą całego drzewa.

Z opisu powyższego faktu, jaki dotąd napewno nie zdarzył się jeszcze nigdy, wyprowadźmy analogję do naszego sposobu zbierania grzybów. Przycinając przy ziemi owoce grzybów — a zbiera się zasadniczo tylko grzyby młode — pozostawiamy dolną ich część (zawierającą stosunkowo największą ilość cukrów, a więc dla bakteryj i grzybków, cukier rozkładających, najpodatniejszą), złączoną jeszcze z macierzystą grzybnią owemi „korzonkami“, jakie widzimy u spodu trzona grzyba po wyrwaniu go w całości z ziemi. Grzybnia, nie wiedząc, jaki okropny los spotkał jej dziecko, czując jednak, że kontakt jej z niem nie został przerwany, wysiła się w dalszym ciągu na intensywne dożywianie dojrzeć mającego owocu; tymczasem jednak soki, wysyłane przez grzybnię, na powierzchni przekroju trzona się rozkładają; coraz groźniejsza zgnilizna szybko obejmuje pozostawioną w ziemi część trzona, na którą zawsze w takim wypadku rzuca się straszliwy pasożyt grzybów kapeluszowych *Hypomyces*, zarażając całą grzybnię podziemną i degenerując ją i wszelkie następne jej poko-

lenia, co doprowadza rychło do zupełnego zaniku sił żywotnych i do śmierci.

Dalsze wyjaśnienia są zbyteczne! Domyślamy się już, co się dzieje w rezultacie. Oto — jedno, jedyne choćby przycięcie przy ziemi młodego grzybka staje się ogniskiem straszliwej choroby, a wkrótce (do kilku miesięcy) i śmierci grzybni, rozciągającej się nieraz na kilka mil w głębi ziemi!

W tym fakcie właśnie tkwi przyczyna zaobserwowanego przez wszystkich w Polsce zjawiska, że grzybów u nas z każdym rokiem coraz mniej. Jeszcze w ostatnich latach przed wojną światową kilogram grzybów suszonych kosztował tyle niemal, co kilogram mięsa wołowego; dziś stosunek ten zmienił się wprost nieprawdopodobnie! Grzyb staje się coraz droższy, bo coraz mniej wzrasta go na ziemiach naszych, a popyt nań i u nas i zagranicą coraz to większy.

Jak więc powinno się zbierać grzyby?

Z przedstawienia istoty grzybni wniosek jasny: nigdy owocu grzyba nie przycinać, ale wyjmować go z ziemi w całości. Czynić zaś to należy delikatnie, by nagłem lub niezgrabnym szarpnięciem nie uszkodzić grzybni; w tym celu, ująwszy lekko owoc ręką, trzeba skrócić go w miejscu tak, by przerwały się łączące go z grzybnią niteczki; wówczas dopiero grzyb wyjąć *i powstały po nim otwór natychmiast zalać ziemią lub piaskiem*; jedynie bowiem w ten sposób ranki, powstałe w grzybni przez odjęcie owocu, szybko się zabliznią, nie ulegając poza tem infekcji czy to bakterjami, czy zarodnikami pasożytniczego *Hypomyces*. My zaś w ten sposób zyskujemy jeszcze duży nieraz kawał słodkiego, pożywnego trzona, jaki dotąd pozostawialiśmy w lesie w naiwnej wierze, że to „zarodek“, że z niego nowy owoc wyrośnie!

Krytycy powyższych wywodów przypuściłby jednak mogli, że coś w nich chyba nie w porządku, boć takie zarażenie się grzybni powstawać napewno musi i w wypadkach naturalnego gnicia grzybów niezebranych, starych.

Ale przecież i jabłko dojrzałe nie gnije na drzewie, lecz w porę odpada! Dzieje się to zaś przez uschnięcie i oderwanie się szypułki od gałązki. Podobnie i u grzybów: gdy owoc spełni swe zadanie, nitki grzybni, doprowadzające doń soki odżywcze, usychają i odłączają się; wówczas grzyb zamiera, przewraca się, a pożerany szybko przez bakterje, grzybki-roztocze, wreszcie larwy much i innych owadów, „przepada“ bez znaku, nie szkodząc nikomu, a przedewszystkiem macierzystej swej grzybni.

A jakież to jest zadanie owocu grzyba, dla którego spełnienia grzybnia-matka wysuwa go ponad ziemię i tyle sił żywotnych i trudu w proces ten wkłada?

Weźmy kapelusz dojrzałego grzyba i połóżmy go na papierze, zabarwionym ciemniej, niż spód kapelusza grzyba. Odjąwszy po kilku godzinach z papieru kapelusz, zadziwimy się obrazem, jaki zobaczymy. Oto na papierze pozostało najdokładniejsze odbicie

negatywne grzyba, nie z soków jego, lecz z suchego, niezmiernie delikatnego proszku, jaki w czasie trwania doświadczenia wysypał się ze spodu kapelusza grzyba. Proszek ten — to właśnie „nasienie“ grzyba; nauka zwie je „zarodnikiem“, lub „spora“. Wysiewa ich n. p. przeciętna pieczarka około 40 milionów na godzinę, a ponieważ wysiewa je ona, zanim dojrzeje całkiem i obali się, by zgnić — przez czas ok. 50 godzin — zatem jeden owoc pieczarki wydaje około 2 miliardów zarodników.

A mimo to, pomimo tak olbrzymiej płodności grzybów, jest ich tak stosunkowo niewiele! Przyczyna tego leży w niezmiernie zawiłych i trudnych warunkach, jakie zarodnik grzybowy zdobyć musi, by uzyskać możność wykiełkowania i dania początku nowej grzybni. Dla pieczarki n. p. warunkiem tym jest przejście zarodnika jej przez żołądek żywego konia, osła, muła lub owcy i wykiełkowanie w ziemi w pobliżu rosnącego owsa (lub innych traw), z którego włoskowatemi korzonkami grzybnia łączy się w związek symbjotyczny; zarodniki borowika przejść muszą przez żołądek leśnego ślimaka i dopiero wydane przez niego z kałem, wykiełkowany i wytworzywszy grzybnię, trafić na włośniki odpowiedniego symbjonta zielonego; każdy wreszcie inny grzyb ma warunki podobne, swoiste, skąd w świecie grzybów olbrzymia różnorodność cech biologicznych, co właśnie dotąd wciąż jeszcze w mrokach tajemnic kryje przed okiem człowieka ową najdziwniejszą istotę ziemi naszej, jaką jest grzyb.

Zanim jednak i w ten cud stworzenia Bożego wnikiemy, nauczmy się zbierać grzyby, gdyż postępując inaczej, niż wyżej wskazano, będziemy wciąż jeszcze nietylko marnotrawcami przyrodzonego a niezmiernego bogactwa grzybowego ziem naszych, ale i bezmyślnymi szkodnikami naszej przyrody żywej, o której zachowanie w pierwotnej szacie jej piękna i sił przedewszystkiem chodzić nam powinno.

Uczmy się zatem grzyboznawstwa, jako nauki nietylko ciekawej, ale i gospodarczo pożytecznej.

Feliks Teodorowicz.

CO TO JEST ŻYWOKOST

Każda z pań, posiadających jakąkolwiek „żywnę“, wie doskonale, ile trudu kosztuje zdobycie zielonka. Z wiosną to jeszcze pół biedy; ale skoro słonko przypiecze — chwasty gdzieś nikną, a te, co są, to jakieś pokurczone i mało soczyste, na które pupile nasi niechętnie spoglądają, a osoba, której obowiązkiem jest zbierać ten chwast, traci na to wiele czasu.

Gdy właścicielka „żywny“ rozporządza polem, to radzi sobie siewem mieszanek w rozmaitych porach, aby stale było młodej paszy poddostatkiem. Jednak nie zawsze udaje się tak utrafić, aby jedna mieszanek następowała po drugiej. Tam, gdzie są warunki do uprawy lucerny, sprawa jest rozwiązana.

Ale ja w tej chwili mam na myśli panie, mające do swego rozporządzenia tylko większy, lub

mniejszy kawałek ogrodu, a hodujące czy to kozę, czy świnkę, czy króliki. W tym wypadku żywokost jest rośliną wprost błogosławioną.

Dostarcza bowiem do 7-miu pokosów przez całą wiosnę i lato, co w sumie daje masę zielonej paszy.

Od kilku już lat na łamach pism rolniczych prowadzona jest propaganda tej rośliny, a jeśli żywokost nie zdobył sobie jeszcze u nas tego miejsca, co na Zachodzie (w Danji stał się bodaj podstawą hodowli świń), to dlatego, że my z zasady niechętnie się odnosimy do wszelkich nowinek.

Coprawda, zarówno w Danji, jak i w Niemczech rządy przywiązywały do żywokostu tak olbrzymie znaczenie, że narówni z różnemi ochronnemi przepisami, wprowadzenie tej uprawy odbywało się urzędowo. W Danji obsadzają żywokostem każdy skrawek przy budynkach, miejsca zacienione w sadach, rowy, miedze, a nawet sadzą go w rzędy wzdłuż drogi, tak je rozstawiając, aby w międzyczędach zmieściły się konie i koła wozu. W Anglii i Francji uprawiają go również.

Świnie, kozy i króliki, a nawet kury jedzą żywokost bardzo chętnie. Jest on bardzo posilny i ma jeszcze tę zaletę, że na karmiące sztuki działa mlekopędnie.

W stanie dzikim żywokost spotyka się u nas po rowach i łąkach. Dziś istnieje już kilka odmian uszlachetnionych — do tych należy „żywokost włoski“, zwany *Matadorem*.

Starań wymaga minimalnych i, raz zasadzony, rośnie na tem samym miejscu przez kilka, a nawet kilkanaście lat.

Na ziemię nie jest zbyt wybredny, lubi łąkową lub ogrodową, t. zw. kapuścianą. Zadowolnia się jednak i każdą inną, byle niezbyt ciężką i mokrą. Rośnie dobrze i na piasku, byle dobrze pognojonym.

Najlepszą porą założenia plantacji jest druga połowa kwietnia — w tym roku wobec tego, że wszystko jest bardzo spóźnione, termin ten przesunie się o dobre trzy tygodnie.

Ziemię orzemy, lub, co lepiej, przekopujemy szpadlem, czyszcząc ją z chwastów, jednocześnie dajemy nawóz, którego nie należy żałować.

Za wapno jest roślina bardzo wdzięczna, więc jeśli go brak, trzeba niem ziemię zasilić (wapniowania nie można skutecznie jednocześnie z dawaniem obornika).

Przed samem sadzeniem spulchniamy ziemię sprężynówką, a na małych kawałkach poprostu motyką. Potem równamy to broną, lub żelaznemi grabiami.

Na średniej ziemi sadzimy żywokost co 45 ctm. w kwadrat. Na ziemiach gorszych dajemy odstępy większe, a na bardziej żyznych sadzimy gęściej.

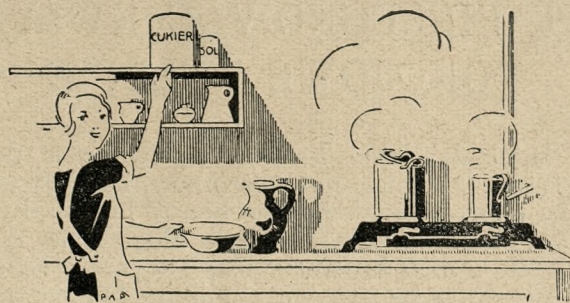
Ważne jest, aby ziemia naokoło wsadzonego korzonka była dobrze obciśnięta, by w ten sposób zabezpieczyć dopływ wilgoci do sadzonki.

Roślinki żywokostu przyjmują się bardzo łatwo i na 100 posadzonych ginie przeciętnie około 3-ch.

Gdy roślinki przyjęły się o tyle, że od ziemi odrósły i rzędy dobrze się zaznaczają, trzeba ziemię w międzyczędach spulchnić i jednocześnie skiełkowane chwasty zniszczyć. Do czynności tych służy motyka lub planet.

Później żywokost rośnie tak szybko, że żadnych chwastów się nie boi, ale w pierwszym okresie trzeba mu dopomóc.

W pierwszym roku po posadzeniu zaczyna kwitnąć w końcu czerwca. W tym pierwszym roku lepiej cięcia zaniechać, aby roślinki mogły się dobrze



Właściwy smak potraw — to zasługa cukru...

Szczypta cukru, dodana podczas gotowania do wszystkich prawie potraw, jarzyn: zielonego groszku, fasolki, marchwi, szpinaku, kalafiorów, kartofli, brukselki, kapusty i pomidorów, do potraw mięsnych, ryb, klusek, kaszek, zup z płatków owsianych, jak również i innych zup, nadaje każdej z tych potraw właściwy jej smak, podnosząc nadto jej wartość odżywczą.

Najlepsza przyprawa, to

szczypta soli-szczypta cukru 507

wzmocnić. Samo ścinanie skuteczniamy sierpem, tnąc zupełnie u nasady liści.

Zbieramy za każdym razem tylko tyle, ile na bieżącą chwilę potrzeba. Zapasów nie należy gromadzić, bo się łatwo zagrzewa i staje niezdrowy.

W początkach maja żywokost daje już dobry pokos. Stary żywokost prędko drewnieje, staje się niestrawny i mniej chętnie przez żywnię jedzony. To też tak kierujemy, aby ostatnie cięcia wypadły przed kwitnieniem. Powinno się mieć tyle krzaków żywokostu, aby, gdy zetniemy ostatni — pierwszy był już gotów do zbioru. Możemy liczyć na 5 — 6 pokosów, a wyjątkowo nawet 7. Pierwszy pokos jest zawsze najobfitszy. Chcąc utrzymać plantację na dużej wydajności, należy po każdym cięciu spulchniać ziemię, a to w celu utrzymania w roli dostatecznej przewiewności i wilgoci. Zabiegi te są szczególnie ważne w czasie suszy.

Ponieważ żywokost rośnie kilka lat w jednym miejscu i corocznie daje duże ilości zielonej paszy, więc oczywiste jest, że dość mocno ziemię wyczerpuje. Zasilanie pokarmem jest przeto konieczne. Zasilamy albo saletrą w stosunku 50 klgr. na morgę, lub poprostu prefermentowaną gnojówką, zmieszaną po polowie z wodą.

Rozmnaża się żywokost przez dzielenie krzaków, co nie następuje najmniejszych trudności. Na „maciorę“ należy wybierać najsilniejsze egzemplarze, t. j. te, które najsilniej plonowały.

Rozmnażanie skuteczniamy tylko wiosną. Gdy sprowadzamy sadzonki z daleka tak, że muszą one odbywać dłuższą podróż, to dobrze jest przed sadzeniem zadołować je na 48 godzin i ziemię silnie zlać wodą. Dopiero, gdy „odejdą“, należy je sadzić.

Zimę wytrzymuje żywokost doskonale i nie wymaga żadnych okrywań.

Z tego pobieżnego szkicu uprawy żywokostu włochoatego widać jasno, że hodowla jego jest łatwa i nie wymaga nic specjalnego, dając wzamian bardzo dużo. Sadzonki są niedrogie, dostać je można wszędzie, a kto chce mieć w specjalnie dobrym gatunku, niech się zaopatrzy ze Stacji doświadczalnej Poznań — Chartowo u p. Saryusz-Zalewskiego, gdzie sprzedają 1 kg. sadzonek wraz z przesyłką po 4 zł., a od 4-ch wzwyż po 3 zł. za klgr., lub u p. A. Łuckiego w Wiśniczu koło Bochni.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

JAK PIELEGNOWAĆ KWIATY POKOJOWE W LECIE

Nadchodzi lato: kwiaty, hodowane w pokoju przez zimę z taką pieczołowitością, wypiękniały wiosną i trzeba pomyśleć, jak je przechować latem, aby jak najwięcej nabrały sił na przyszłą długą zimę.

Wiele z nich będziemy mogli wynieść na dwór, część jednak trzeba zostawić w pokoju. Do pierwszych należy większość, a więc: fuksje, azalje, oleandry, kamelje, pelargonje, koleusy, agawy, kaktusy, draceny, asparagusy, cyperusy, ruskusy i z palm: *Chamerops humilis* i *Exelsa*; do drugich — inne delikatniejsze palmy, *Asparagus plumosus*, *Nephrolepis* i t. p.

Z kwiatów tych jedynie kaktusy, agawy, a także oleandry, *coleus* i pelargonje lubią silne słońce; resztę kwiatów należy umieszczać w pół-cieniu, gdyż albo schną, albo wyrastają im (ruskusom i asparagusom) grube, krótkie i nieładne pędy.

Szczęśliwsi z pośród mieszkańców miast, którzy mają choćby małe ogródki przy mieszkaniach, mogą w nich wybrać odpowiednie, niezbyt słoneczne miejsce; o ile jednak jest do rozporządzenia tylko bardzo słoneczny balkon, to lepiej ustawiać na nim tylko takie kwiaty, które bardzo dobrze znoszą słońce (kaktusy, agawy i t. p.).

W takim razie należy jedynie jaknajdłużej zostawiać otwarte okno, aby rośliny miały duży dostęp powietrza i światła.

Najlepszą dla kwiatów jest wystawa wschodnia i zachodnia, gdyż słońce do 11 rano i od 2 po poł. nie jest już tak palące.

Bardzo ważną czynnością przy pielęgnowaniu kwiatów jest umiejętne podlewanie. Normalnie u nas podlewa się kwiaty za mało — właśnie trzeba na to zwrócić uwagę, że może podlewamy dość często, ale wody na jednorazowe podlanie zużywamy za mało. Szczególnie w lecie daje się odczuć roślinom brak wody, gdyż wyniesione na dwór, w przewiewie transpirują silniej, a i ziemia w doniczkach prędzej wysycha.

Kwiaty należy raczej podlewać rzadziej, ale tak, aby wszystka ziemia w doniczce przesiąkła; jeśli została zwilżona tylko wierzchnia warstwa ziemi, to roślina nie będzie mogła z niej skorzystać prawie wcale — w rezultacie będzie się źle rozwijała i w końcu zmarnieje. O ile ziemia w doniczce jest już tak sucha, że odstaje od brzegów, a uderzona doniczka dzwoni, wtedy nie wystarczy choćby najobfitsze podlanie: aby ziemia mogła dobrze nasiąknąć, trzeba zanurzyć całą doniczkę w wodzie i pozostawić ją tam przez 24 godziny. Ważna „wiedza“, jak podlewać kwiaty, musi być w większej części zgłębiona przez samego hodowcę — z cudzego doświadczenia można tylko się dowiedzieć, jaki kwiat woli mniej, a jaki więcej wody, oraz bardzo ogólnikowo, kiedy i w ja-

kich warunkach należy go tak, czy inaczej pielęgnować. Jednakże bezwzględnych przepisów na to niema, gdyż wymagania roślin są zmienne, zależnie od warunków, a te może zaobserwować tylko sam hodowca.

Należy jednak przyjąć, że: kaktusy i agawy nie lubią dużo wilgoci; musimy je podlewać obficie, ale dość rzadko, tak, aby w międzyczasie ziemia w doniczce przeszła; kliwje, amaryllisy i inne cebulkowe i mięsiste rośliny podlewamy obficie, ale pamiętaj trzeba, że bardziej szkodzi im nadmiar, niż niedostatek wody; przeciwnie: palmy, asparagusy, oleandry, tradescancje — podlewa się najczęściej zbyt mało; najwięcej wymagają podlewania rośliny błotne, jak *Cyperus*, *Calla*, *Selaginella* i t. p.

Wszystkie, oprócz agawy i kaktusów, lubią częste spryskiwanie, oczywiście nie na słońcu, lecz rano lub wieczorem. Nie należy podlewać kwiatów wodą zimną i prosto z kranu. Najlepiej postawić na balkonie lub na oknie dość duże naczynie, w którym woda, przeznaczona do podlewania roślin, mogłaby stać przez 24 godziny.

Jesienią, gdy noce są zbyt chłodne i mogą być przymrozki, zabieramy kwiaty, już silne i zahartowane, do pokoju.

A. Podczaska.

SURÓWKA WIOSENNA I LETNIA

Przeciętny mieszkaniec miasta, odżywiający się całą zimę przeważnie mięsem z tłustymi i ostreymi dodatkami i przyprawami — z nastaniem ciepłych, słonecznych dni wiosennych zaczyna czuć wstręt do tych pokarmów i tęskni do wszelkiej zieleninki. Rzodkiewki, zielona sałatka, później ogórki, wszelkie młode jarzynki — od karotek i szparagów do młodych kartofelków i kalafjorów — mają dla niego urok nieprzeparty.

Jest to zupełnie naturalny i zrozumiały popęd zdrowej natury do szukania odpowiedniego, bogatego w witaminy pożywienia, którego nam brak przez blisko pół roku, w okresie późnej jesieni i zimy.

W naszym chłodnym i wilgotnym klimacie nie możemy się, oczywiście, odżywiać samymi jarzynami i owocami, jak szczęśliwe narody Południa; winniśmy jednak wykorzystać pomyślną konjunkturę połączenia ciepłych dni wiosny i lata z jednoczesnym bogactwem wszelkiej jadalnej zieleninki i chociaż przez tę drugą połowę roku spożywać codziennie surówki, tak bogate w witaminy.

Przyzwyczajenie — to, niestety, druga natura, i nikt przeciętnego polaka nie przekona, że można zupełnie wyrzucić z jadłospisów befsztyki i sznyce, nawet smakowite, młode kureczątka, a jeść tylko jarzynki i owoce; to też nawet lekarze nie zalecają takiej radykalnej zmiany metody odżywiania, a radzą tylko wprowadzenie do niej większej rozmaitości pod postacią różnych produktów nietgotowanych.

Gdybyśmy nawet chcieli wprowadzić w domu czysto surówkowo-życianową kuchnię, spotkalibyśmy się z taką masą trudności, że po kilkudniowych próbach doznalibyśmy zupełnego zniechęcenia.

Wszak w znakomitem sanatorjum kossowskim doktora Tarnawskiego surówki stanowią tylko część wybornej jarskiej kuchni, której podstawą są jednak dania pieczone, smażone i gotowane. Nie dlatego, żeby nie było w daniach surowych jaknajobfitszego wyboru, lecz że przywykliśmy do pewnej kolejności dań,

KOMUNIKAT

Instytut Gospodarstwa Domowego zaopatrzył w cechę Instytutu na rok 1931 — 1932 „Molotox“. (Środek przeciw molom).

Wytwórca: Zakłady Przemysłowo-Handlowe — Warszawa, ul. Kilińskiego 5.

Cena: pudełka 2 zł., torebki 40 groszy.

bez której, chociażby najbardziej najedzeni, nie odczuwamy sytości.

Naprzykład: jeżeli chodzi o zupy, sok z buraczków surowych, zmieszany z rosółem kapuścianym lub ogórkowym, może być nawet smaczny i orzeźwiający, lecz, jako napój, a nie danie sycące. Co prawda, jeżeli chodzi o zupy, to tylko kuchnia polska rozporządza tak wyborną surówkową i niestłuchaną bogatą w witaminy zupą, jaką jest chłodnik. Ogórki, zielony koper, szczypiorek, śmietana surowa — wszystko przysmaki pierwszorzędne, przy których trochę ugotowanej botwinki lub buraczków, jakaś cielęcina i szynka, jajko na twardo i szyjki rakowe grają tylko rolę uzupełniającą. Również w Polsce tylko jadamy zieloną salatek ze śmietaną — dwa najbogatsze w witaminy produkty. A latem, gdy się codziennie nieomal jada poziomki, truskawki, maliny i jagody ze świeżym mlekiem i ze śmietanką, można się zupełnie obejść bez skomplikowanych dań jarskich, podawanych w zagranicznych podręcznikach kuchennych i — lekarskich.

Już to w tych ostatnich spotykamy nieraz dziwolągi, powstałe na podstawie obliczeń teoretycznych, przy zupełnej nieświadomości, jaki będzie ich rezultat praktyczny. Naprzykład, znalazłam w jednym z nich danie, składające się z surowego ryżu, rozmoczonego na papkę, następnie zmieszanego z krajaniem figami i miodem. Otóż, zgoda na jedzenie surowego ziarna, ale rozmoczony na papkę ryż — to już nie ziarno, lecz krochmal do sztywnej bielizny.

Niestety, w handlu naszym nie spotykamy całego szeregu płatków zbożowych, zalecanych przez lekarzy zagranicznych, które to płatki są podstawą szeregu dań surowkowych. Mamy tylko płatki owsiane — krajowe i ryż dęty — zagraniczny. Oba artykuły wyśmienite w smaku, jeśli je przed użyciem leciutko na patelni podsmażymy. Każdy kompot — czy to gotowany, czy zrobiony z owoców na surowo — posypany na talerzu takimi płatkami, zyskuje na pożywności w dwójnasób i smakuje wybornie; tylko właśnie posypany już na talerzu.

Niemieckie książki jarskie zalecają i ryż dęty i płatki owsiane mieszać z sokiem owocowym, lub z mlekiem na parę godzin przed podaniem; w rezultacie otrzymujemy papkę nieapetyczną na wygląd i niemającą już przyjemnego, chrupiącego smaku świeżo podprażonego ziarna. Zresztą o gustach niemieckich lepiej nie mówmy. W poważnej książce jarskiej znalazłam przepis zupy z surowego owocu i surowej śmietanki, zaprawionej aż sześciu łyżkami surowej oliwy! Na samą myśl o tem mdło mi się zrobiło.

Korzystajmy z nauki, poważnej, gruntownej nauki naszych sąsiadów, lecz jadłospisy i przepisy twórzmy sobie własne. Naprzykład: pamiętajmy, że śmietana i śmietanka — najbogatsze w życiany produkty mleczne — po zagotowaniu te życiany tracą, to też zamiast kłaść śmietanę do rondla i gotować z sosem lub zupą, kładziemy ją w ostatniej chwili, na surowo, do wazy lub sosjerki. Jeszcze lepszy jest zwyczaj rosyjski podawania do zupy śmietany w sosjerce lub w garnuszku. Każdy sobie łyżką na talerz kładzie i na talerzu ją z zupą miesza — najlepszy sposób zachowania wszystkich życianów.

W rozpoczynającym się sezonie owoców dobrze jest zaznajomić się z działaniem poszczególnych owoców na organizm ludzki. Wobec braku odpowiedniej tablicy polskiej, czerpię te wiadomości z niemieckiej.

Przedewszystkiem dieta owocowa działa wzmacniająco na nerwy. Zawarte w owocach pierwiastki

aromatyczne, kwasy naturalne, części mineralne podniecają apetyt i działają znakomicie na gruczoły i na przemianę materji.

Jednak, aby owoc szedł na pożytek, powinien on dojrzewać w słońcu, czerpiąc z jego promieni te główne swe skarby — życiany; owoce, zebrane w stanie zielonym i dojrzewające w wagonie lub piwnicy, są o połowę mniej wartościowe.

Poziomki i truskawki pomagają w trawieniu i świetnie działają na przemianę materji, są też niezastąpioną pożywką dla nerwów ludzi umysłowo pracujących.

Maliny, jako też wszelkie inne owoce jagodowe, wzbogacają krew i wzmacniają nerwy.

Wiśnie są doskonałym środkiem przeciw blednicy, jako najbardziej wzbogacające krew.

Śliwki wszelkie działają zlekka przeczyszczająco i, jako bogate w fosfaty, są pożyteczne dla mózgu i nerwów.

Gruszki dobrze działają na nerwy.

Jabłka, niezbyt kwaśne, nieobierane, zawierają dużo żelaza, wzbogacają krew i podniecają czynności mózgu.

Winogrona oczyszczają krew, płuca i wątrobę, leczą choroby przewodów pokarmowych. Stanowią najmniej szkodliwą kurację osób otyłych.

Tyle o owocach krajowych; poprzestańmy na nich i, za wyjątkiem pomarańcz, do których potanieńca wzdychają wszystkie matki i wszystkie gospodynie, oraz cytryn, które są tylko przyprawą — starajmy się, w imię samowystarczalności, jaknajmniej używać owoców zagranicznych.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SURÓWKOWE DANIA KOLACJOWE.

1. Cwikłowe, czerwone, nieduże buraczki, naprzód starannie umyte, następnie obrane z łupinek, uszatkować cieniuchno na jarzynowej tarce. Skropić oliwą z cytryną, lekko posolić, potrzymać tak godzin parę przed podaniem, aby zmiękły. Pośrodku salaterki ułożyć dobry, świeży twaróg, przetarty przez sito lub przez maszynkę do kartofli. Wkoło obłożyć wianuszkami przyrządzonych, jak wyżej, buraczków. Wszystko pokryć gęstą, niezbyt kwaśną śmietaną i podawać.

2. Biała czy czerwona rzodkiewka, tylko starannie umyta, a nie obierana z łupinek, poszatkowana jaknajcieńiej, lekko osolona, skropiona cytryną i oliwą, powinna poleżeć godzin parę, aż zmięknie. Ile pęczków rzodkiewki, tyle wziąć średniej miary ogórków świeżych. Połowę poszatkować jaknajdrobniej, zmieszać z rzodkiewką, drobno usiekany koperkiem, uformować stożek pośrodku salaterki. Drugą połowę ogórków pokrajać w cieniuchne plasterki, ułożyć ładny wianuszek wkoło zmieszanej surówki, skropić cytryną, posolić. Kopezyk mieszanej surówki pokryć gęstą, niezbyt kwaśną śmietaną.

3. Świeże szparagi obrać z włókien i utrzeć na grubej tarce do jarzyn, tak samo utrzeć młodą karczownicę (jednego i drugiego powinna być mniej więcej równa ilości). Osolić, posypać łyżką cukru, wymieszać z sokiem cytrynowym i oliwą. Ułożyć na dużych, kruchych liściach zielonej sałaty.

TEPI MOLE w ZARODKU



LOTNY-CZYSTY-EKONOMICZNY
ZAKŁADY PRZEMYSŁOWO-HANDLOWE
ST. ZELKOWICZ I S-KA. WARSZAWA. DŁUGA 9

W chwili podania na każdej porcyjce położyć łyżkę gęstego sosu majonezowego.

KARTOFLE PIECZONE DO SURÓWEK.

Wybornem uzupełnieniem surówek są kartofle pieczone w sposób następujący. Nieduże, równej wielkości kartofle obrać z lupinek. Jeśli mamy tylko same duże kartofle, pokrajać je, po obraniu z lupin, na możliwie równe części. Ułożone na misce kartofle osolić na godzinę. Następnie obetrzeć ściereczką, utrzeć w grubej razowej, pszennej lub żytniej mące, przelożyć na brytfannę i upiec w piecu, lub pod blachą. Piec tak długo, aż nie tylko zmiękną, lecz nawet się skurczą. Podawać w serwecie, aby nie ostygły. Tak upieczone kartofle wybornie smakują do zsiadłego mleka i są specjalnie zalecane osobom, którym wszelkie kartofle przysmażane lub polane tłuszczem, szkodzą.

KANAPKI JARSKIE.

Ukrajac równe grzanki z czarnego, żytniego chleba (powinny być nie grubsze, niż na jeden centymetr). Leciuchno posmarować z obu stron masłem i wstawić w piec, aby się trochę zrumieniły i uschły. Świeży twaróg przetrzeć przez sito, lub przepuścić przez maszynkę, zmieszać z taką samą ilością gęstej śmietany kwaśnej i dobrą garścią drobno usiekanego szezypioru. Osolić do smaku. Można dodać na koniec noża białego pieprzu. Wymieszać masę dokładnie. Smarować bardzo grubo na zrumieniony chlebek, ułożyć na serwetce i podawać zaraz, aby się masa na gorącym chlebie nie rozpuściła.

Grzanki z czarnego chleba, zrumienione na masle, ostudzić zupełnie. Świeże, śmietankowe masło zmieszać z utartym na grubej tarce chrzanem (łyżka chrzanu na 15 deka masła). Pokryć kanapki cieniuchno pokrajanymi płatkami ogórka. Ogórek posypać tartym, ostrym serem. Bardzo oryginalne, ostre kanapki.

Młode karofki, utarte na grubej, jarzynowej tarce, zmieszać z bardzo gęstą śmietaną. Grzanki z pszennej bułki, lekko z obu stron zrumienione na masle i ostudzone, grubo nakładać masą z marchwi i posypać po wierzchu ostrym, tartym serem.

Lekko w piecu podsuszony, a nawet zrumieniony grzanki z bułki (toast'y) posmarować cienko masłem, zmieszaniem z czwartą częścią angielskiej musztardy. Ogórek świeży usiekać drobno z kruchym, białym środkiem głowiastej sałaty. Położyć tej siekaniny grubą warstwę na każdą grzankę i pokryć gęstym sosem majonezowym.

Pani Elżbieta.

DROBNE OGŁOSZENIA.

W WOJEWÓDZTWIE lwowskim, dwór, ładna okolica, las, kąpiel — radio, tenis — przyjmuje osoby zdrowe na wypoczynek. Cena 7 złp. dziennie. Adres w Redakcji.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Ausirji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Cena 1 zł. 25 gr.



Do nabycia we wszystkich składach aptecznych i perfumerjach.

OBIADY DLA INTELIGENCJI PRACUJĄCEJ

(NA 5 OSÓB)

Rosół z kaszką.

Budyń z mięsa — kartofle z wody — sałata ze śmietaną.

Mus zórawinowy.

Osiemdziesiąt deka wołowiny (może być w kilku kawałkach, byleby pomiędzy nimi było 15 — 20 deka kruchej kostki) nastawić z włoszczyzną na rosół. Brać wody około 2 i pół litra, aby po ugotowaniu pozostało półtora litra rosółu. Filiżankę kaszki drobnej rozgotować w trzech filiżankach wrzątku, osolić do smaku, włożyć łyżeczkę masła, łyżkę zielonego koperku drobno usiekanego, dobrze wybić kaszkę, rozsmarować na półmisku na palec grubo i ostudzić. Przed podaniem zimną kaszkę pokrajać w ładną kostkę, włożyć do wazy, zalać wrzącym rosółem.

Wyjęte mięso przepuścić przez maszynkę. Sześć deka masła zasmażyć na biało z pół szklanką mąki, rozprowadzić zimną wodą do gęstości bardzo zawiesistego sosu, zmieszać z usiekanym mięsem. Wbić w to trzy żółtka, dodać sporą cebulę, drobno usiekaną i przesmażoną w łyżce masła, osolić do smaku, nieco popieprzyć, doskonale wyrobić całą masę. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z mięsną masą, wszystko włożyć do formy. Zakryć szczelnie. Gotować godzinę i kwadrans w drugim rondlu, do połowy napełnionym wrzącą wodą (czas się liczy od powtórnego zagotowania wody). Gotowy budyń wyłożyć na półmisek, polać rumianem masłem (pięć deka) i obłożyć kartoflami z wody (1 kilo). Do tego podać sałatę, obmytą, osączoną z wody, przed samem podaniem lekko osoloną i polaną parą łyżkami niegęstej śmietany.

Na mus rozgotować dwadzieścia deka zórawin w dwóch i pół szklankach wody, przecedzić przez bardzo gęste sito. Zmieszać ze szklanką cukru. Dodać dwa deka żelatyny czerwonej, wpiąć rozmozonej w zimnej wodzie. Rozpuścić w gorącym płynie, nie gotując. Gdy nieco przestygnie, włożyć jedno świeże białko i ubijać trzepaczką, aż się zapieni i zgęstnieje. Przełożyć do formy, wylanej wodą i wysypanej cukrem. Wynieść na chłód przynajmniej na godzin parę przed podaniem.

Pani Elżbieta.